...ano do kontroli ...
...kiej wypożycz...
dla dorosłych
19...

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 23 kwietnia 1947 r. Nr 16 (85)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wszystko co było, co jest, niechaj się odbije w literaturze, tym ruchomym zwierciadle dawniejszych i dzisiejszych pojęć; żebyśmy samych siebie w drugiej ujrzeli postaci. Biada ludowi, gdy choć na moment wyjdzie z tego rozumienia samego siebie!

Maurycy Mochnacki

TREŚĆ NUMERU:

WYNIKI ANKIETY

JAN KOTT — **WYNALAZEK I DUCH**

JAN BACULEWSKI — **Z DOŚWIADCZEŃ KURSÓW WSTĘPNYCH DO SZKÓŁ WYŻSZYCH**

STANISŁAW GIEROWSKI — **NIESTATECZNA WSPÓŁCZESNOŚĆ**

STANISŁAW SZENIC — **POTĘGA I WPŁYWY KAPITALIZMU W OBECNYCH NIEMCZECH**

JALU KUREK — **PAVANA NA ŚMIERĆ INFANTKI**

PAWEŁ HERTZ — **SEDAN (IV)**

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI — **UWAGI O POLSKIEJ SCENOGRAFII**

ANNA KAMIEŃSKA — **BAJKI LUCYNY KRZEMIENIECKIEJ**

WANDA GRODZIEŃSKA — **KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY**

EWA KORZENIEWSKA — **STUDIUM O PRUSIE**

MARIA JANION — **POWIEŚĆ O GRECJI WALCZĄCEJ**

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **„SZCZĘŚCIE FRANIA" W TEATRZE T. U. R. W ŁODZI**

MARIUSZ MARGAL — **PO KLĘSCE HOLLYWOODU W CANNES**

PRZEGLĄD PRASY

JAN REYCHMAN — **Z ZAGADNIEŃ POLSKIEJ ORIENTALISTYKI**

NOTY

Wyniki ankiety czytelników „Kuźnicy"

Jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać najszybciej?

Ogółem oddano w ankiecie głosów 4086 rozbitych pomiędzy 671 książek

Jak wynika z ankiety, czytelnicy „Kuźnicy" pragnęliby, aby jako pierwsze dziesięć książek dotąd po wojnie nie wydanych wydano dzieła następujące:

1. **Adam Mickiewicz — „Dzieła wszystkie" — 81 głosów.**
2. **Stefan Żeromski — „Ludzie bezdomni" — 74 głosy.**
3. **Lew Tołstoj — „Wojna i pokój" — 72 głosy.**
4. **Juliusz Słowacki — „Dzieła wszystkie" — 63 głosy.**
5. **Eliza Orzeszkowa — „Nad Niemnem" — 62 głosy.**
6. **Henryk Sienkiewicz — „Trylogia" — 62 głosy.**
7. **Maria Dąbrowska — „Noce i dni" — 43 głosy.**
8. **Roger Martin du Gard — cykl „Rodzina Thibault" — 39 głosów.**
9. **Stendhal — „Czerwone i czarne" — 37 głosów.**
10. **Bolesław Prus — „Placówka" — 36 głosów.**

Następne w kolejności powyżej 20 głosów otrzymały:

THOMAS MANN — „CZARODZIEJSKA GÓRA" — 35; CERVANTES — „DON KICHOT" — 34; KAROL DICKENS — „KLUB PICKWICKA" — 34; ALEKSY TOŁSTOJ — „PIOTR WIELKI" — 34; SZOŁOCHOW — „CICHY DON" — 31; G. FLAUBERT — „SZKOŁA SERC" — 30; MARCEL PROUST — „W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU" — 30; ELIZA ORZESZKOWA — „MEIR EZOFOWICZ" — 29; KAROL MARKS — „KAPITAŁ" — 28; GALSWORTHY — „SAGA RODU FORSYTÓW" — 27; ROMAIN ROLLAND — „JAN KRZYSZTOF" — 25; JÓZEF KISIELEWSKI — „ZIEMIA GROMADZI PROCHY" — 24; ELIZA ORZESZKOWA — „CHAM" — 24; STEFAN ŻEROMSKI — „TRYLOGIA (NAWRACANIE JUDASZA, ZAMIEC, CHARITAS) — 24; AL. BRÜCKNER — „HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ" — 24; CONRAD — „LORD JIM" — 23; A. ŚWIĘTOCHOWSKI — „HISTORIA CHŁOPÓW POLSKICH" — 23; LENIN — „WYBÓR PISM" — 22; B. PRUS — „EMANCYPANTKI" — 22; ANDRZEJ STRUG — „ŻÓŁTY KRZYŻ" — 22; BALZAC — „OJCIEC GORIOT" — 21; HELENA BOGUSZEWSKA i JERZY KORNACKI — „JADĄ WOZY Z CEGŁĄ" — 21; LEON KRUCZKOWSKI — „PAWIE PIÓRA" — 21; THOMAS MANN — „BUDDENBROKOWIE" — 21; WŁ. SPASOWSKI — „WYZWOLENIE CZŁOWIEKA" — 21; A. ZWEIG — „SPÓR O SIERŻANTA GRISZĘ" — 21; ŻEROMSKI — „SYZYFOWE PRACE" — 21.

Od 11 do 20 głosów otrzymali:

Gładkow — „Cement" — 20; Morcinek — „Wyrąbany chodnik" — 20; J. Reed — „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" — 20; Józef Wittlin — „Sól ziemi" — 20; Józef Conrad — „Korsarz" — 19; Huxley — „Nowy wspaniały świat" — 19; Katajew — „Naprzód czasie" — 18; Romain Rolland — „Colas Breugnon" — 18; Zofia Nałkowska — „Niedobra miłość" — 18; Jan Parandowski — „Niebo w płomieniach" — 18; Aragon — „Dzwony Bazylei" — 17; Balzac — „Chłopi" — 17; Dostojewski — „Zbrodnia i kara" — 17; G. Flaubert — „Madame Bovary" — 17; Zbigniew Uniłowski — „Wspólny pokój" — 17; Karol Dickens — „Dawid Cooperfield" — 16; Stanisław Brzozowski „Płomienie" 15; Engels — „O pochodzeniu rodziny" — 15; Andreé Gide — „Fałszerze" — 15; Pola Gojawiczyńska — „Dziewczęta z Nowolipek" — 15; Homer — „Qdyssea" — 15; Huxley — „Ostrze na ostrze" — 15; B. Prus — „Najogólniejsze ideały życiowe" — 15, Antologia poezji polskiej dwudziestolecia — 14; G. Lewis — „Mr. Babitt" — 14; Wł. St. Reymont — „Ziemia obiecana" — 14; Adolf Rudnicki — „Żołnierze" — 14; Szołochow — „Zorany Ugór" — 14; L. Grosmann — „Naród jest nieśmiertelny" — 13; Jarosław Iwaszkiewicz — „Czerwone tarcze" — 13; Malraux — „Czasy pogardy" — 13; Ksawery Pruszyński — „W czerwonej Hiszpanii" — 13; Upton Sinclair — „Grzęzawisko" — 13; Balzac — „Kuzyn Pons" — 12; Fredro — Komedie — 12; Mickiewicz — „Dziady" — 12; R. Rolland — „Dusza zaczarowana" — 12, „Antologia poezji rosyjskiej" — 12; Choromański — „Zadrość i medycyna" — 11; Dzieje Polski" (bez podania autora) — 11; Z. Kossak-Szczucka — „Złota wolność" — 11; Orzeszkowa „Bene nati" — 11; Pilniak — „Wołga wpada do morza Kaspijskiego" — 11; Szekspir — „Dramaty" — 11; Tuwim — „Kwiaty polskie" — 11; Sigrida Undset — „Krystyna córka Lawransa" — 11; Wells — „Historia świata" — 11; Józef Weyssenhoff — „Żywot i myśli Józefa Podfilipskiego" — 11.

Po dziesięć głosów otrzymali:

Boy Żeleński — „Flirt z Melpomeną"; Burckhardt — „Dzieje odrodzenia we Włoszech"; Conrad — „Murzyn z załogi Narcyza" — Dostojewski — „Biesy"; Victor Hugo — „Nędznicy"; Bruno Schulz — „Sklepy cynamonowe"; Maupassant — „Nowele", Zbiorowe wydanie dzieł Prusa; Rembek — „W polu"; K. Tetmajer — „Na skalnym Podhalu"; W. Wasilewska „Po prostu miłość"; Witkiewicz — „Sztuka i krytyka u nas"; Zegadłowicz — „Zmory".

Po dziewięć głosów otrzymali:

Boy — „Marysieńka Sobieska"; Chałasiński — „Młode pokolenie chłopów"; Cronin — „Gwiazdy patrzą na nas"; Gojawiczyńska — „Ziemia Elżbiety"; Gorkij — „Dzieciństwo"; Hemingway — „Pożegnanie z bronią" „Historia literatury polskiej" (bez wymienienia autora); Huxley — „Nad zatoką meksykańska", „Niewidomy w Gazie"; Lenin — „Państwo i rewolucja"; Makuszyński — „Bezgrzeszne lata"; Molier — „Skąpiec"; Cyprian Norwid — Poezje; Stendhal — „Pustelnia Parmeńska"; Swift — „Podróże Gulliwera"; Gombrowicz — „Ferdydurke"; Julian Tuwim — „Jarmark rymów"; W. Wasilewska — „Płomienie na bagnie"; Jan Wiktor — „Orka na ugorze"; Stefan Żeromski — „Dzieła zbiorowe".

Po osiem głosów padło na:

Balzac — Fizjologia małżeństwa"; Berent — „Żywe kamienie"; Dygasiński — „Gody życia"; Anatol France „Thais"; E. Hemingway — „Komu dzwon dzwoni"; Foerster „Niemcy a Europa"; Rudyard Kipling — „Stalky i S-ka"; Z. Krasiński — „Irydion"; Marks — „Wojna domowa we Francji"; Montaigne — „Próby"; Władysław St. Reymont — „Trylogia" — („Rok 1794"); M. de la Roche — „Rodzina Whiteoaków"; Emil Zola — „Ziemia".

Po siedem głosów padło na:

Bocaccio — „Dekameron"; Conrad — „Ocalenie"; Dickens — „Powieść o dwóch miastach"; Duhamel — „Kronika rodu Pasquier"; A Gide — „Lochy Watykanu"; Gorkij — „Moje uniwersytety"; Homer — „Iliada"; Hamsun — „Błogosławieństwo ziemi"; Montesquieu — „Listy perskie"; Renan — „Żywot Jezusa"; G. B. Shaw — „Profesja pani Warren"; Eug. Sue — „Żyd wieczny tułacz"; A. Świętochowski — „Genealogia teraźniejszości"; L. Tołstoj — „Dzieciństwo, Lata chłopięce, Młodość," Tretiakow — „Krzyczcie Chiny".

Po sześć głosów padło na:

Pearl Buck — „Zęby smoka"; Conrad „Tajfun"; Diderot — „Kuzynek ministra Ramau"; Dołęga Mostowicz — „Kariera Nikodema Dyzmy"; „Encyklopedia Powszechna"; Ernst Glaeser — „Ostatni cywil". Schulz — „Sanatorium pod klepsydrą"; B. Jasieński — „Palę Paryż"; Kipling — „Kim"; Ludwik Krzywicki — „Studia socjologiczne"; Maria Kuncewiczowa — „Cudzoziemka"; Jerzy Liebert — „Poezje"; Bolesław Limanowski — „Historia demokracji"; Jack London — „Zew krwi", Moliere — „Komedie"; Rabelais — Gargantua i Pantagruel; Remarque — „Na zachodzie bez zmian"; Rodziewiczówna — „Lato leśnych ludzi"; Wasserman — „Sprawa Mauriziusa"; Korczak — Książki dla młodzieży; Żeromski — „Wierna rzeka".

Dalsze głosy zostały rozbite pomiędzy: 25 książek, które otrzymały po 5 głosów, 32 po 4 głosy, 56 po 3 głosy, 91 po 2 głosy, 247 po 1 głosie. Razem oddano 3358 ważnych głosów na 619 niewydanych dotąd książek. Ponadto: 628 głosów padło na 52 książki już wydane przed dniem 1.3 1947 roku, których podawanie mija się oczywiście z celem ankiety.

Głosy te oddane na dzieła takie jak „Lalka" Prusa, „Krzyżacy" Sienkiewicza, „Przedwiośnie" Żeromskiego, „Granica" Nałkowskiej itp. nie zostały uwzględnione w podanym przez nas wyliczeniu. Uwzględniono natomiast głosy złożone na książki takie, które jak „Niebo w płomieniach" Parandowskiego czy „Dziewczęta z Nowolipek" Gojawiczyńskiej pojawiły się drukiem po upływie terminu ankiety lub jak „Cichy Don" Szołochowa wydane zostały tylko częściowo.

* * *

W wynikach ankiety „Kuźnicy" uderza obok przejawiającej się w szczegółach i charakterystycznej dla tego rodzaju danych przypadkowości przewaga głosów domagających się jak najszybszego wydania dzieł klasyków literatury polskiej, w pierwszym rzędzie pełnych wydań Mickiewicza i Słowackiego, dalej — zasadniczych pozycji powieściowych. Tutaj — z powieścią polską współzawodniczą z powodzeniem spopularyzowane przekładami z ostatnich lat przedwojennych czołowe dzieła pisarzy obcych. Godny uwagi jest odsetek głosów jaki padł na takie arcydzieła literatury obcej jak utwory Tołstoja, Stendhala, du Garda, Manna, Cervantesa, Flauberta czy Prousta.

* * *

Lista osób nagrodzonych za najtrafniejsze odpowiedzi i za najciekawsze uzasadnienia wyboru oraz niektóre z tych uzasadnień będą ogłoszone w jednym z najbliższych numerów „Kuźnicy".

JAN KOTT

Przedmowa do „Lalki" (IV)
(dokończenie)

WYNALAZEK I DUCH

„Wszakże pan myślał kiedyś o machinach latających... o locie machiny ciężkiej, napełnionej i obwarowanej jak pancernik?... Czy pan rozumie, jaki nastąpiłby przewrót w świecie po podobnym wynazku?... Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowlach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów..."
(„Lalka").

Karol Fourier miał dwadzieścia lat w roku 1792, kiedy wielki kupiec Delbier, reprezentant żyrondystów z bogatych prowincji południowej Francji, oświadczył w Zgromadzeniu Ustawodawczym: „W moich magazynach znajdują się w wielkich ilościach: cukier, kawa, indygo, bawełna: w obliczu Francji i Europy żądam od Zgromadzenia Narodowego, aby mi nie przeszkadzano rozporządzać moim majątkiem wedle mego uznania i sprzedawać towary po tej cenie, którą uznam za właściwą. Towary te należą do mnie!"

Fourier był subiektem w jednym z największych sklepów kolonialnych w Marsylii. I zawsze wyobrażałem sobie, że tak jak ów Delbier musiał przemawiać i marsylijski patron Fouriera, który kazał mu pewnego pięknego ranka zatopić w porcie ogromny ładunek ryżu, aby nie dopuścić do zniżki cen. Było to ważne doświadczenie życiowe dla przyszłego twórcy socjalistycznej utopii. Nie jedyne. W parę lat potem Fourier zobaczył na własne oczy pierwsze statki, poruszane parą.

Ta nowa machina budziła powszechne przerażenie. „Mieszkańcy miast — pisze współczesny kronikarz — zbierali się wielkimi grupami przy brzegach rzeki, przywabieni ruchem kół i przestraszeni widokiem iskier, wydobywających się z komina okrętu. Ta osobliwa pochodnia pruła szybko fale rzeki, przyciągała wzrok wszystkich i siała na swej drodze przestrach. Krzyki przeraźliwe — „ogień! ogień! alarmujące bicie w dzwony i szczekanie psów towarzyszyły temu fantastycznemu zjawisku do świtu".

Fourierowi bardzo się nie podobało wrzucanie ryżu do morza, ale za to bardzo mu się podobały pierwsze parostatki. Ten subiekt w sklepie kolonialnym jeden z pierwszych zrozumiał, że kapitalizm przynosi z sobą jednocześnie: topienie ładunków ryżu w morzu i zastosowanie pary do poruszania okrętów. Ta głęboka i odkrywcza myśl była źródłem jednej z najbardziej przenikliwych krytyk wczesnego kapitalizmu: „w cywilizacji nędza wynika z samego nadmiaru bogactw" i jednego z najbardziej szalonych pomysłów reformy społeczeństwa.

Utopia Fouriera była bardzo optymistyczna. Wierzył on nie tylko w przemianę natury ludzkiej, tak jak ją sobie wyobrażali inni wielcy reformatorzy, przez stopniowe uszlachetnienie instynktów, i popędów człowieka. Wierzył w przemianę samej natury: woda w morzach miała zmienić się w wyborną lemoniadę, a ludziom z tyłu głowy wyrosnąć trzecie oko.

Wielki utopista z czasów młodości kapitalizmu z niczym niezachwianą ufnością odnosił się do myśli, uczuć i zdolności człowieka. Przyczynę nędzy i klęsk, jedyną przeszkodę ciągłego postępu upatrywał w błędach społecznego ustroju. Nie lękał się wynalazków, choćby najbardziej zuchwałych, pod warunkiem, że będą z nich mogli wszyscy korzystać.

Historia utopii została napisana. Ale czeka jeszcze na swojego autora wielka książka o fantastycznych powieściach, proroctwach przyszłej cywilizacji, wizjach odkryć i wynalazków. Ten nienapisany jeszcze rozdział z historii literatury byłby w istocie niczym innym jak historią kapitalizmu i pokazałby ze zdumiewającą dokładnością chwilę, kiedy pan Homais, prowincjonalny aptekarz, wolterianin i radykał, entuzjazmujący się dotychczas każdym odkryciem, zarówno nowej planety, jak nowego środka na porost włosów, przestaje wierzyć w naukę i zaczyna się panicznie lękać nowych wynalazków.

Dwukrotnie w ciągu tego samego stulecia nagły skok techniki zmieniał w sposób gwałtowny społeczne warunki bytu. Rewolucja przemysłowa i wprowadzenie maszyn zamieniła w początkach wieku rzemieślników w proletariuszy. Postępy techniki i nowe wynalazki w siódmym dziesiątku tego samego wieku uderzyły już w inną warstwę społeczną; powodowały ruinę drobnych fabrykantów, pożerały oszczędności małych ciułaczy. Odkrycia nowych złóż surowcowych i nowych metod produkcji wywoływały nagłe wstrząsy gospodarcze i niedające się przewidzieć skoki papierów wartościowych na giełdzie. Pierwszy mechaniczny warsztat tkacki mógł zastąpić sześć ręcznych kołowrotków, teraz nowa maszyna zastępowała sześć starych maszyn. W roku 1880 w samej Anglii zarejestrowano w urzędzie patentowym 30.000 nowych wynalazków. Drobni producenci nie mogli nadążyć za rozwojem techniki. Bankrutowali. Ciągła zmienność warunków życia stawała się zwolna najbardziej niezmienną cechą społeczeństwa burżuazyjnego.

„Stulecie nasze — pisał Ludwik Krzywicki — jest widownią nieustającego przewrotu i wyróżnia się silną niestatecznością warunków bytu. Wynalazki tak prędko nastają po sobie, stosunki zmieniają się tak szybko, nawet teorie naukowe i hypotezy idą w zapomnienie w tak krótkich odstępach czasu. Pradziadowie nasi podróżowali wozami i potrzebowali całych tygodni, gdzie dzięki kolejom dosyć dni paru. Gorączka taka życia nie pozwala ześrodkować się uwadze naszej na czymkolwiek, ani uczuciu przywiązać się silniej. Żyjemy poniekąd na pokomornem i przestaliśmy obdarzać głębszym przywiązaniem mury, które jutro opuścimy. Jesteśmy porwani odmętem nieustającego przewrotu technicznego: sposoby zaspakajania potrzeb ulegają tak gwałtownie przekształceniu, że odwykliśmy od stateczności bytu i pewności jutra..."

Teoretycy i populatorzy socjalizmu patrzyli z pogodą ducha na ten obraz pożerania ryb małych przez wielkie: nowe wynalazki przyśpieszały proces akumulacji kapitału, przybliżając chwilę przewrotu, który zniesie sprzeczność pomiędzy zasadą społecznego wytwarzania a indywidualną własnością środków produkcji. Ale mieszczanin, który pragnął stabilizacji i słownik swój wzbogacił o nowe słowo — kryzys, lękał się już dalszego postępu techniki.

„Tak zwana ludzkość — mówi Geist do Wokulskiego w Paryżu w roku 1879 — mniej więcej na dziesięć tysięcy wołów, baranów, tygrysów i gadów, mających człowiecze formy, posiada ledwie jednego prawdziwego człowieka... Brąz, żelazo, proch, igła magnesowa, druk, machiny parowe i telegrafy elektryczne dostawały się bez żadnego wyboru w ręce geniuszów i idiotów, ludzi szlachetnych i zbrodniarzy... A jaki tego rezultat? Oto ten, że głupota i występek, dostając coraz potężniejsze narzędzia mnożyły się i umacniały zamiast stopniowo ginąć..."

Tak zaczyna się powieść utopijna: „Ja... jeżeli znajdę ostatecznie metal lżejszy od powietrza, oddam go tylko prawdziwym ludziom. Niech oni raz zaopatrzą się w broń na swój własny wyłączny użytek, niechaj ich rasa mnoży się i rośnie w potęgę, a zwierzęta i potwory w ludzkiej postaci niechaj zwolna wyginą. Jeżeli Anglicy mieli prawo wypędzić wilków ze swej wyspy, istotny człowiek ma prawo wypędzić z ziemi przynajmniej tygrysy, ucharakteryzowane na ludzi..."

Roczarowany pozytywista sięga po pałeczkę Prospera. Sprawiedliwi otrzymają skrzydła, wynalezienie metalu lżejszego od powietrza ocali ludzkość. W nadziemskich budowlach przyjdą na świat „istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów!

Jakie są cechy charakterystyczne tej nowej utopii?

„Dlaczego nazywacie go wariatem? — pyta Wokulski o Geista swego paryskiego informatora. — Nie można inaczej nazywać człowieka, który sądzi, że uda mu się zmniejszyć ciężar gatunkowy ciał, czy tylko metalów..." Dziś, choć nie umiemy jeszcze zmniejszyć ciężaru gatunkowego ciał, i tylko w pewnych wypadkach potrafimy go powiększyć, nikt pomysłów Geista nie uznałby za obłąkane. I śmieszne byłoby spierać się z Prusem o pełne czy klatkowate cząstki materii. Jak na powieść fantastyczną teorie profesora Geista są dostatecznie dobrze uzasadnione.*).

Nie w tym rzecz! Utopia Prusa nie jest utopią naukową. Utopia Prusa jest utopią społeczną. Wynalazek staje się cudotwórstwem. To rok 1887!

Realistyczną powieść o wynalazcy napisał Balzak. Jego Dawid Sechard dokonywuje wielkiego odkrycia, wynajduje sposób fabrykacji papieru z masy roślinnej. Wynajduje w chwili, kiedy gwałtownie rozwija się prasa, kiedy rośnie zapotrzebowanie na tanie gatunki papieru. Wynalazek u Balzaka wyrasta z praw rozkwitającej gospodarki kapitalistycznej. To nie wszystko. Dawid Sechard sprzedaje swój wynalazek za grosze wielkiej spółce drukarskiej, sprzedaje, zanim go jeszcze ukończył, sprzedaje, aby móc go dokonać, aby zdobyć środki na przeprowadzenie prób. Balzak z niezmierną jasnością pokazuje zależność rozwoju techniki od przemian gospodarczych i społecznych. Balzak przystaje na „cierpienia wynalazcy". Wynalazek potwierdza, a nie obala kapitalizm. Tak pisał klasyk realizmu!

A Juliusz Verne? Oto nowy wzór powieści fantastycznej: czysta powieść przygód, powieść o triumfie techniki. Aeroplan, wznoszący się nad szczyty górskie i łódź podwodna, zanurzająca się w głębie oceanu, nie naruszają społecznej i ekonomicznej równowagi świata. W królestwie Juliusza Verne rządzą niepodzielnie bogowie czystej energii. Łódź podwodna przypomina dywan czarodziejski i cudowny pierścień z bajek „Tysiąca i jednej nocy". Na czarodziejskim dywanie w jeden wieczór można dostać się z Bagdadu do Mekki, ale nikt na czarodziejskim dywanie nie ucieknie od wyroków wezyra. Wystarczy obrócić na palcu cudowny pierścień, aby ze skórzanej torby mulnika, porzuconej pod daktylową palmą, wyszły dwadzieścia cztery słonie, obładowane diamentami Kolchidy i czterdzieści osiem dwugarbnych wielbłądów, dźwigających ciężkie wory ze złotem. Ale nad moc pierścienia silniejsza jest władza kalifa, który strzeże litery Zakonu.

W „Lalce" Prusa cudowny pierścień obalić ma prawa kapitalizmu: „metale Geista dadzą początek takiej cywilizacji, o jakiej nie marzono i kto wie, czy wprost nie uszlachetnią gatunku ludzkiego. W okresie wyrastania kapitału monopolistycznego, który skupował patenty, Prus marzy o wynalazku, który stanie się bronią szlachetnych. „Metal lżejszy od powietrza — woła Geist — nie może stać się własnością dzisiejszej ludzkości. Już za wiele nieszczęść mnoży się na ziemi przez nieopatrzne wynalazki..."

Oto pierwszy szkic utopii epoki imperializmu. W późnych powieściach Juliusza Verne zabrzmią tony katastroficzne, bóstwa czystej energii odsłonią swoje złowrogie oblicze, klub uczonych szaleńców zamarzy o przewrocie kosmicznym, spróbuje przesunąć oś ziemską.

Katastrofistą będzie również najświetniejszy przedstawiciel nowej powieści fantastycznej — Wells. Wynalazek przestaje już służyć produkcji, współczesny powieściopisarz widzi w nim jedynie potężne narzędzie zniszczenia lub dyktatorskiej władzy. W „Róży" Żeromskiego wynalazek promieni śmierci ocalić ma rewolucję od klęski. Było to marzenie o bombie atomowej niszczącej. Szklane domy „Przedwiośnia" — to energia atomowa tworząca. W opóźnionej gospodarczo Polsce wiara w technikę przemieniła się w oczekiwanie cudu. Cud techniczny miał naprzód przynieść wyzwolenie, a potem reformę rolną.

Oto jeden jeszcze rozdział z historii XIX wieku, który możemy odczytać w „Lalce". Ale cień utopii, zawieszony nad powieścią pogłębia tylko czerń obrazu społecznego rozkładu. Cień utopii, zawieszony nad powieścią, nie zaciera konturów rzeczywistego świata, jest tylko ostatnią, rozpaczliwą próbą udokumentowania wiary w postęp ludzkości. „Lalka" jest wielką powieścią realistyczną, jej głęboki pesymizm jest oskarżycielski i twórczy.

„Gdy łotry wzajemnie wykrywają swe łotrostwa, uczuwamy dla nich coś w rodzaju sympatii, doznajemy uczucia jakbyśmy patrzyli na owe idealne krajobrazy dawnych epok geologicznych, gdzie widać różne żarłoczne potwory o wydłużonych, uzębionych mordach pożerające się wzajemnie; patrząc na nie myślimy sobie dobrotliwie: żryjcie się **bestie,** bo gdy się pożrecie, zostanie teren oczyszczony dla rozwoju **ludzi.**

Mimo to ludzie, którym na sercu leży ewolucja ludzkości, nie powini wyczekiwać biernie, aż reakcjoniści sami się pożrą, lecz przyśpieszać ten proces za pomocą śmiałego i bezlitosnego demaskowania obłudy, dyskredytowania, skandali. W czasach przełomowych, jak dzisiejsze, większą zasługą dla ewolucji jest wykrywanie i tępienie łotrostw, niż bezpośrednie stwarzanie dobra, walenie gnijących gmachów, niż budowanie nowych, albowiem nowe gmachy, budowane śród starych, gnijących, same ulegną zgniliźnie lub pogrążą się w powszechnym błocie. Załóżmy np. zakład dobroczynny — stanie się pastwiskiem dla „filantropów", napiszmy dzieło naukowe — zbutwieje w rękopisie; nauczajmy według wymagań prawdziwej wiedzy — nikt jej nie zapotrzebuje: ufundujmy stypendia — dostaną się lokajom; zawiążmy towarzystwo dla popierania nauki — stanie się przybytkiem kliki; założmy czytelnię — reakcja usunie z niej dzieła naukowe..."

Nie są to ani słowa doktora Szumana, ani nieznany epilog „Lalki". Jest to już socjalistyczna krytyka kapitalizmu". Tak pisał Wacław Nałkowski, w roku 1898, w artykule „Skandale jako czynniki ewolucji". Oto chyba najświetniejsza obrona wysokiego realizmu „Lalki".

Ale „Lalka" obok aktu oskarżenia, przynosi jeszcze inne podzwonne pozytywizmu. W tej powieści, która jest historią wieku, ostatecznym zamknięciem epoki postępowej myśli mieszczaństwa, mamy już formułę ucieczki od rzeczywistości. „Lalka" ma nie **dwa,** ale **trzy** zakończenia. Pierwszym jest samobójstwo Wokulskiego, drugim — Geist czyli duch utopii; trzecie zakończenie jest właściwie początkiem **innej** powieści, początkiem **wielu** powieści, początkiem nowej ideologii mieszczaństwa.

Oto trzecie zakończenie „Lalki": „Wokulski zrozumiał, że w chwili nieszczęścia, kiedy go wszystko zdradziło, jeszcze pozostała mu wierną — ziemia, prosty człowiek i Bóg". W „Lalce" nie ma jeszcze **ziemi,** są tylko folwarki i posesje; nie ma **prostego człowieka,** jest tylko subiekt, rzemieślnik, woźnica i dróżnik kolejowy; nie ma **Boga** — jest tylko w kościele kwesta wielkopostna na ubogich. Ale cudowna formuła: „ziemia, prosty człowiek i Bóg" stanie się odtąd nowym wyznaniem wiary, którym zachłyśnie się literatura i filozofia mieszczańska.

Ziemia — oto początek wiary w twórczą moc biologii; **prosty człowiek** — to nieśmiały jeszcze zarys religii instynktu, kultu pierwotności, potępienia intelektu; **Bóg** — oto tryumfalny powrót irracjonalizmu i mistyki. W chwili kiedy ruch robotniczy otworzył perspektywę nowej cywilizacji, wolnej od przemocy człowieka nad człowiekiem, literatura kreuje obraz świata, który życie społeczne uczyni niezrozumiałym i bezsensownym.

Zawiedziony inteligent jeszcze przez krótki okres czasu będzie oskarżał i demaskował, pokaże złowrogą twarz **biesa,** potem przerażony cofnie się, zanurzy w głębiach własnej psychiki, przeciwstawi jednostkę ogółowi, odkryje zło w naturze. Jego szamotania staną się odtąd coraz bardziej rozpaczliwe i ponure: katastrofizm i mistyka religijna, nadczłowiek i czysta sztuka, metampsychoza i średniowiecze, chuć i nirwana, demonologia i powrót do natury albo zakłamana nikczemna i płaska

*) Nie należy lekkomyślnie oskarżać Prusa o lekceważenie zasad zdrowego rozsądku i nauki. W cytowanym już szkicu o Prusie K. W. Zawodziński pisze: „Do powieści realistycznej wprowadza (sc. Prus) wynalazcę metalu lżejszego od powietrza, który jednak przez dziwne niedopatrzenie nie ucieka w górę przy demonstrowaniu go Wokulskiemu i przy składaniu w darze pannie Izabeli". Niedopatrzenie jest, ale... krytyka: metalowa blaszka, ofiarowana przez Geista Wokulskiemu, była tylko parokrotnie lżejsza od wody, a nie od powietrza. Czytajmy klasyków z dobrą wolą i uważniej

apologia solidaryzmu. To już czas wielkich mitologii.

W roku 1889, w dwa lata po ukazaniu się w „Kurierze Codziennym" pierwszych odcinków „Lalki", ukazały się niemal jednocześnie w Paryżu trzy książki: biblia dekadentów — portret des Esseintes'a w „A'Rebours" Huysmansa, oskarżenie pozytywnej nauki o niemoralność i zgubny wpływ wychowawczy w powieści Bourgeta — „Le Disciple" i wreszcie „l'Essai sur les donnéé immediates de la conscience" Bergsona. Wkrótce potem Brunettere w słynnym artykule: „Po wizycie w Watykanie" ogłosił powrót do religii.

A w Warszawie? W Warszawie już pisą o „bankructwie wiedzy". We wszystkich tygodnikach pełno rozpraw o spirytyzmie, suggestii, hipnotyzmie i wirujących stolikach. Julian Ochorowicz, jeden z najdzielniejszych do niedawna popularyzatorów pozytywnej filozofii, ogłasza teraz wielkie artykuły o Mesmerze, leczy magnetyzmem i urządza spirytystyczne seanse ze słynnem medium Eusapią Palladino. Do spirytystów przystępuje i Bolesław Prus. Wpływ tych seansów widzimy na czwartym tomie „Emancypantek".

Minie jeszcze parę lat i Miriam Przesmycki ogłosi manifest nowej sztuki w „Chimerze", jej wielkim patronem stanie się Nietzsche „Rozpasała się frenetyczna orgia mierności, podtrzymywana i podniecana jeszcze przez przeróżnych trybunów i heroldów równości, schlebiających tłumom, mówiących im o **tajemniczych siłach socjalnych,** które mają być źródłem całego postępu, o ojcostwie i eo ipso zwierzchniczem stanowisku **środowisk i chwil dziejowych** względem głębszych genialnych jednostek, o wyższości zdrowego rozsądku mas nad wszelkiego rodzaju filozoficznemi koncepcjami czy intuicyjnemi wizjami artystów..." Hasła rewolucji francuskiej, demokracja, przymus szkolny, życie w wielkich miastach, doprowadziły „do niewidzianego przedtem rozpasania najmaterialniejszych instynktów i żądz ludzkich, do niesłychanego wyjałowienia, wypłytczenia i zmiernienia umysłów, do wyziębienia wszelkich zapałów i uniesień".

Tak w ciągu niespełna trzydziestu lat skończył się w Polsce wiek dziewiętnasty.

Jan Kott.

AMERYKANIE PISZĄ HISTORIĘ WOJNY!

JUŻ ukazała się książka:

„DRUGA WOJNA ŚWIATOWA"

napisana przez

U. S. I. S. BIURO INFORMACYJNE STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Materiał zaczerpnięty ze źródeł Wywiadu Wojskowego Departamentu Wojny w Waszyngtonie.

Jest to krótka historia wojny napisana w formie reportażu, obejmująca cały okres wojny światowej od 1939 do 1945 roku. Książka zawiera 20 mapek obrazujących najważniejsze wydarzenia drugiej wojny światowej.

KSIĄŻKĘ TĘ WINNI WSZYSCY PRZECZYTAĆ

KSIĄŻKA TA

WINNA SIĘ ZNALEŹĆ W KAŻDYM DOMU!

Wydawnictwo „PRZEŁOM"

Kraków — ul. Karmelicka 6.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ NR. 15:

Gen. Karol Świerczewski (Red.). — Stanisław Szenic — **Przemysł niemiecki przed Trybunałem Norymberskim.** Jan Kott — **Kronika wieku dziewiętnastego.** Mieczysław Jastrun—**Panu Tygodnikowi Warszawskiemu w odpowiedzi.** Aleksander Szpakowicz — **Lumpenburżuazja (II).** Paweł Hertz — **Sedan (III).** Jerzy Miller — **Basen.** Jerzy Pański — **Kłopoty radiowego programu.** Seweryn Pollak — **Dokument dni grozy.** Kazimierz Budzyk — **Szkodliwa książka. Przegląd prasy.—Korespondencja.—Noty.**

JAN BACULEWSKI

Z doświadczeń kursów wstępnych do szkół wyższych

Zarządzenie Ministra Oświaty powołało w maju 1945 r. Kursy Wstępne Studiów na uczelniach wyższych. Było ono jednym z wielu zabiegów, mających ratować określony fragment rzeczywistości powojennej. Ukazywało się w czasie, kiedy znajdowano wiele zrozumienia dla sytuacji, które miało porządkować. Nie mniej niepokoiło ono wielu profesorów wyższych uczelni, organizatorów oświaty, część opinii społecznej. Powodów do niepokoju było wiele. Organizacja kursów wstępnych w sposób bezkompromisowy zrywała z praktyką społeczną rekrutacji młodzieży akademickiej, burzyła dotychczasowy system selekcji.

Dziś, gdy dobiegamy dwulecia działalności tej instytucji, jakie nasuwają się widoki z przebytych doświadczeń?

1.

W pierwszym roku niepodległości stanęliśmy wobec olbrzymich niedoborów w kadrach fachowców i inteligencji pracującej. Niedobory te były rezultatem teroru okupacyjnego, który poprzez więzienia i obozy zdziesiątkował szeregi pracowników umysłowych i naukowych. Straciliśmy około 600 uczonych, pracujących przed wojną w różnych dziedzinach nauk. Zginęła olbrzymia część inteligencji technicznej, w tym niezastąpieni specjaliści. Braki te powiększyła przerwa w dopływie młodego elementu inteligenckiego ze szkół średnich i wyższych. Przed wojną sześć i pół tysiąca dyplomowanych fachowców ze szkół wyższych zasilało rocznie kadry inteligencji pracującej i stanowiło podstawę doboru pracowników naukowych. Jednocześnie ponad 35.000 absolwentów dawały rocznie szkoły średnie, zawodowe i ogólnokształcące.

W czasie okupacji dopływ ten nagle ustał. Istniało wprawdzie oficjalne szkolnictwo zawodowe typu średniego, nie wyrównywało jednak ono, nawet w przybliżeniu strat i zastoju w przygotowaniu kadr nowej inteligencji, poza tym było nieliczne i wykształcenie ograniczało wyłącznie do sprawności specjalistycznych. Sieć tajnego nauczania obejmowała nieliczne grupki absolwentów; ten typ nauki przysparzał minimum. Większość młodzieży w czasie okupacji pozbawiona była możliwości kształcenia się. Skazana na niewolniczą pracę w fabrykach i obozach pracy, cały wysiłek obracała na walkę o byt. Część zaś związana z partyzantką i akcją konspiracyjną, tym mniej mogła myśleć o nauce. Gdy podnoszące się z ruin nowe Państwo Polskie poszukuje resztki tych, których wiedza i wysokie kwalifikacje są warunkiem szybkiej odbudowy kraju, napotyka na nowe luki, spowodowane ucieczką przed pracą dla polskiej demokracji. Wrogowie lub łowcy łatwizny, rycerze lasu i szabrownicy — smutne i groźne zjawisko, zwłaszcza w pierwszym okresie niepodległości!

Wszystkie te fakty spowodowały katastrofalne braki w kadrach inteligencji. Powracające do życia państwo musiało znaleźć wyjście z ciężkiej sytuacji, w jakiej się znalazło. Normalny proces przygotowania kadr poprzez szkoły średnie i wyższe nie mógł rozwiązać zagadnienia i ze względu na to, że zniszczone uczelnie, pozbawione wykładowców, nie mogły rozpocząć natychmiastowej pracy. Same zresztą uczelnie wyższe wymagały kurateli. Konserwatyzm społeczny, stosujący specjalny rodzaj selekcji w rekrutacji młodych pracowników naukowych i rzesz studenckich, wymagał zmiany i odświeżenia całokształtu stosunków panujących w szkolnictwie wyższym — przez otwarcie szerokiego dostępu przedstawicielom chłopów i robotników, przekształcającym życie społeczne w Polsce i ustalającym nowe prawa i normy społeczne.

Wszystkie te przyczyny spowodowały konieczność zorganizowania specjalnych form kształcenia kadr inteligencji pracujcej przez udostępnienie nauki na poziomie wyższym, zwłaszcza młodzieży ekonomicznie słabszej, która nie mogła dostać się na uczelnie wyższe. Ponieważ młodzież ta z reguły pozbawiona była normalnego cenzusu szkoły średniej, uprawniającej do zapisania się na pierwszy rok studiów, utworzono specjalny wstępny rok studiów, aby przez wyrównanie braków w zakresie programu szkoły średniej umożliwić młodzieży tej studia wyższe.

2.

Kwalifikowaniem kandydatów na Wstępny rok Studiów zajmują się Państwowe Komisje Weryfikacyjno - Kwalifikacyjne, działające w ciągu trzech kadencji rocznie (styczeń, czerwiec, wrzesień) w siedzibach Kuratoriów Szkolnych oraz w miastach: Częstochowa, Radom, Tarnów i Bydgoszcz. Zadaniem Komisji jest wydawanie na podstawie przedłożonych dowodów, bądź też na podstawie przeprowadzonych uproszczonych egzaminów — zaświadczeń, uprawniających do przyjęcia na pierwszy rok studiów, na wstępny rok studiów, do zakładów kształcenia nauczycieli i na kursy specjalne. Prawo do ubiegania się o uzyskanie wymienionych zaświadczeń mają osoby, które ukończyły 18 lat, a nie przekroczyły 30 roku życia.

Rozpatrując działalność Komisji w ciągu półtorarocznego ich istnienia należy wydzielić dwa okresy tej działalności. Pierwszy, obejmujący czas od momentu ich powołania aż do końca roku kalendarzowego 1946, poświęcony był przede wszystkim weryfikacji świadectw tej młodzieży, która uczyła się w tajnych lub półtajnych szkołach, kompletach lub drogą samokształcenia albo też w legalnych okupacyjnych szkołach zawodowych, nie uzyskując formalnych uprawnień do studiów wyższych. W tym okresie tylko nieznaczny odsetek młodzieży robotniczej i chłopskiej zdołał zadośćuczynić wymaganiom egzaminacyjnych komisji, to też element, który Komisje zakwalifikowały na rok wstępny, niewiele zmienił swoje oblicze społeczne w porównaniu ze stanem przedwojennym. Przeważała teraz, jak i przed wojną warstwa mieszczańsko-inteligencka. Nie było w tym nic dziwnego. Komisje weryfikowały świadectwa tajnych kompletów z ukończenia 4 klas gimnazjalnych i nawet 1 klasę licealną. W związku z tym na rok wstępny dostawali się przeważnie ci, którzy podczas wojny mieli warunki umożliwiające naukę na kompletach lub prywatnie. Inna młodzież nawet niewątpliwie wartościowsza i bardziej zasługująca na pomoc przedostała się w nieznacznej ilości. Tak np. w Łodzi spośród 300 osób, które zakwalifikowała Komisja we wrześniu 1945 r. na rok wstępny, tylko 23% stanowili chłopi i robotnicy. Do „Wici" i „Życia" przystąpiło wówczas po 10 słuchaczy roku wstępnego, do ZNMS — 8. Ten stan rzeczy niemal bez zmian utrzymał się do końca roku 1946.

W ostatnim dniu tego roku Ministerstwo Oświaty spowodowało drugą fazę działalności Komisji. Nastąpiło przesunięcie punktu ciężkości i działalności Komisji z weryfikacji na selekcję egzaminacyjną.

Zadaniem Komisji Weryfikacyjno-Kwalifikacyjnej jest obecnie kwalifikowanie na kurs wstępny jedynie takich kandydatów, którzy albo już pracują produkcyjnie w gospodarstwie narodowym, albo brali czynny udział w walkach o wolność, lub przebywali w więzieniach i obozach i współdziałali w walce o wolność i demokrację, wykazując się odpowiednimi zaletami charakteru i poziomem ideowym.

W związku z tym żąda się od kandydatów przedstawienia opinii związków społecznych, zawodowych i organizacji społecznych. Przed Komisjami (stają obecnie z gruntu inni kandydaci na rok wstępny).

Kadencja styczniowa br. była punktem krytycznym dla przełamywania się sytuacji. Niezwykle charakterystyczna jest tutaj wymowa cyfr. Do Komisji w Łodzi zgłosiło się 871 kandydatów, na kurs wstępny złożyło egzamin 472 osoby, na rok pierwszy studiów zakwalifikowano 111 kandydatów. Wśród kandydatów na rok wstępny mają zdecydowaną przewagę przedstawiciele warstwy inteligenckiej. Stanowią 77% wszystkich, którzy dostali się na pierwszy rok studiów przez Komisję. Wśród nich chłopów jest 10%, robotników 8%, rzemieślników 5%. Układ ten stanowi końcowe stadium pierwszej fazy. Nową fazę wyrażają stosunki na wstępnym roku studiów. Ustalają się tu zgoła odmienne proporcje. Grupa chłopsko-robotnicza uzyskuje 63% przedstawicieli, warstwa mieszczańsko-inteligencka stanowi 37%, najsilniejsza jest grupa chłopska i zajmuje 33%, robotnicy stanowią 31%, inteligencja 24%, rzemieślnicy 12%. W naszych oczach przełamuje się układ sił. Proces zmian zdecydowany, choć nie rewolucyjny. Cyfry wskazują, że weszliśmy w stadium demokratyzacji odcinka młodzieżowego na uczelniach wyższych. Wysunięcie się na czoło przedstawicieli chłopów, robotników i inteligencji pracującej jest odbiciem układu sił społecznych w życiu państwa. Zajęcie czołowego miejsca przez młodzież chłopską jest wyrazem przewrotu, jaki dokonał się w ustroju wsi: ekspansja kulturalna młodego pokolenia chłopów przenosi prawa rozwoju społeczno-politycznego na odcinek kultury. Zjawisko to w dalszym swoim rozwoju jest zapowiedzią głębszych, bardziej rewolucyjnych zmian, niż te, które dziś obserwujemy. Wymaga to bacznej uwagi, by napływ przedstawicieli tak różnych kultur, nie spowodował separatyzmu, zwłaszcza w tych jego sielskich i folklorystycznych tendencjach, z powodu których mogłaby ucierpieć jedność kulturalna narodu.

Gdy się obserwuje te wszystkie fakty i gdy widzi się przyczyny, które je powodują, łatwo pojąć, jak ważnym i jak subtelnym instrumentem społecznym są Komisje Weryfikacyjno-Kwalifikacyjne. Ich skład personalny chyba stale ulega zmianom. I jest to słuszne, jeśli miejsce tradycjonalistów, zwolenników szkolnej selekcji i formalistów, zwolenników porządku, w którym by wszystko trwało możliwie bez większych zmian, miejsce ludzi cierpiących na rewolucyjną fobię, zajmują ludzie, niosący pomoc nowym klasom i nowym ludziom w przekraczaniu stopni cywilizacyjnych, ludzie ułatwiający drogę awansu społecznego i przyśpieszający krystalizowanie się nowej rzeczywistości. Nie wszystko chyba jednak zostało zrobione w tej sprawie. Wędrówki młodzieży, która szuka szczęścia w różnych częściach Polski, by przekroczyć ten próg, poza który niełatwo jeszcze przejść trwają. Komisja nie zawsze ma należyte zrozumienie dla społecznych kwalifikacji kandydata, gdy nie wykazuje on tej sprawności umysłowej do której przyzwyczaiła egzaminatorów kilkudziesięcioletnia praktyka szkolna.

I tu dotykamy sprawy egzaminów dla kandydatów na rok wstępny. Składają oni egzamin ustny i pisemny. Egzamin pisemny obejmuje język polski i matematykę, egzamin ustny: język polski z historią literatury, historię Polski z geografią, z uwzględnieniem najważniejszych okresów dziejów powszechnych oraz matematykę.

Praktyka egzaminacyjna wykazała, że błędem jest stosowanie wymagań formalnych przy kwalifikowaniu kandydatów na kurs wstępny. Metodą egzaminów, stosowaną w szkole średniej niewiele by tu można było osiągnąć. Zasób wiedzy kandydatów na kurs wstępny jest niejednokrotnie bogaty, lecz chaotyczny, częściej jednostronny, jednokierunkowy. Na egzaminie łatwiej jest stwierdzić, że mamy do czynienia ze specjalnymi uzdolnieniami, zamiłowaniami i sprawnościami umysłowymi, znajdującymi oparcie w wykonywanej pracy zawodowej, niż z metodycznym przerobieniem materiału.

Doświadczenia egzaminacyjne pozwalają przyjąć, jako fakt oczywisty, że dyspozycje umysłowe kandydatów na kurs wstępny wykazują należyty rozwój zdolności rozumowania i wydawania sądów i że kandydaci posługują się w dostatecznej mierze symbolami i pojęciami w ramach specjalności i wiedzy, którą posiadają. A wiedza ta jest wystarczająca do startu na studia w określonym kierunku. Kandydaci ze styczniowej kadencji łódzkiej rozbili się na 5 odrębnych kierunków obranych studiów, obejmujących 6 wydziałów uniwersytetu, 4 wydziały politechniki i 4 wydziały SGGW i WSGW.

Jak rozwija się ta młodzież naukowo, jakie osiąga postępy i rezultaty? Jako dość charakterystyczny objaw należałoby zanotować fakt, że młodzież ze środowisk zamożnych i inteligenckich nie przewodzi na studiach wyższych, górują niewątpliwie grupy klas pracujących. Więc młodzież ze środowiska pracowników umysłowych, zdolna i łatwo studiująca pracuje starannie i dość równomiernie. Młodzież robotnicza, a zwłaszcza chłopska, rozwija się i pracuje wolniej, ale właśnie ona przy końcu roku zdobywa pierwsze miejsce w klasyfikacji. Z tej grupy przychodzą pierwsi do mety. Tak np. w grupie 100 słuchaczy na pewnym wydziale politechniki łódzkiej na 40 dobrych ocen z trygonometrii studenci, chłopi i robotnicy otrzymują 10, chociaż w ogólnej liczbie słuchaczy stanowią 25%. Oczywiście, procent tych, którzy dają sobie radę z trudem lub nie dają jej sobie wcale, jest widoczny, choć staje maleje. Ludziom tym należałoby przyjść z pomocą przez stworzenie dla nich semestrów letnich lub kierowanie do innych szkół.

3.

Poprzez Komisje Weryfikacyjno-Kwalifikacyjne dokonało się już częściowo zwiększenie dopływu na studia wyższe spośród tych, którzy przeszli zastępcze formy przygotowania średniego drogą tajnego i półtajnego nauczania. Proces ten dobiega

końca. W nowej fazie Komisje sięgają do rezerwuaru robotniczo-chłopskiego, by stąd czerpać nowe siły dla tworzenia kadr wykwalifikowanej inteligencji. Nie wystarczy tu już sonda organizacyjna, trzeba przystąpić do nowego przygotowania kandydatów na kurs wstępny studiów wyższych. Stąd zrodziła się potrzeba zorganizowania kursów przygotowawczych do roku wstępnego. Im głównie zawdzięcza Łódź nagły skok procentu słuchaczy roku wstępnego na rzecz młodzieży chłopskiej i robotniczej.

Kursy przygotowawcze powstały z inicjatywy i organizacji związków młodzieżowych. Zadanie ich polega na przygotowaniu młodzieży o niskim cenzusie wykształcenia do egzaminu na kurs wstępny. Kursem przygotowawczym zainteresowało się w Łodzi około 1.500 osób, egzamin przed Komisją zdało 369 słuchaczy. Większość z nich (188 osób) ukończyła tylko szkoła powszechną, reszta po 1, 2 lub 3 klasy gimnazjalne. Wyniki egzaminu wykazały, że 1/3 bardzo dobrych ocen zdobyli absolwenci szkół powszechnych. Wśród kandydatów na rok wstępny słuchacze kursu przygotowawczego stanowili 75%. Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty byli zdumieni wysokim poziomem nauki na kursie i szybkim tempem wyrównywania braków umysłowych.

Kursy wstępne są potrzebną i udaną formą dokształcania kandydatów na rok wstępny studiów wyższych i stanowią życiodajne źródło dopływu demokratycznego elementu do szkół wyższych. Gdy się tyle pisze i mówi o przełomie w kulturze, trzeba zauważyć, że kursy przygotowawcze są jednym z torów, którym przybliża się ładunek nowych wartości społecznych, moralnych, kulturalnych i obywatelskich. By zdać sobie z tego sprawę, trzeba przejrzeć życiorysy tych nowych ludzi lub przyjrzeć się ich pracy. Żyją oni w ciężkich warunkach, zwłaszcza po przejściu na rok wstępny. Są źle ubrani, źle zaopatrzeni w środki do życia, posiłek ich na uniwersytecie, to niejednokrotnie zeschnięta kromka chleba, przysłanego przez rodziców ze wsi. Ale pracowitość, wytrwałość, zapał i umiłowanie wiedzy, tworzą tę nową atmosferę, której nie znają jeszcze wszyscy, ale która rodzi się wraz z narodzinami nowych czasów i nową rzeczywistością.

Nie zawsze rozporządzamy odpowiednimi środkami, by młodzieży tej przyjść z pomocą stypendialną i internatową. Przepełnione domy akademickie nie mogą pomieścić wszystkich, którzy powinni z nich korzystać. Związki zawodowe, organizacje polityczne i młodzieżowe, wszelkie inne instytucje winny zwiększyć swoje wysiłki, by umożliwić rozwój i naukę tym, którzy bezsprzecznie na to zasługują.

4.

Demokratyzacja szkół wyższych jest procesem, który długo jeszcze trwać będzie. Ale nie tylko to wymaga utrzymania kursów wstępnych. Korzystać z nich będą w szerokiej mierze absolwenci średnich szkół zawodowych, którzy ze względu na zmniejszony zakres nauki mogą przechodzić na studia wyższe tylko dzięki istnieniu stałej instytucji kursów wstępnych. Należałoby poza tym zbadać, czy nie powinnyby one stać się normalną drogą przechodzenia ze szkół średnich wszelkiego typu na uczelnie wyższe, gdyby przeładowany plan nauki w szkołach zawodowych i anachroniczny program szkół ogólnokształcących miał być przekształcony w kierunkowy program nowej szkoły średniej. W programie tej szkoły należałoby położyć nacisk na adaptację społeczno-gospodarczą nauki, wobec czego przygotowanie do studiów wyższych należałoby przenieść na wstępne kursy wyższych uczelni.

Jako stała instytucja zarysowują się kursy wstępne przy wyższych szkołach pedagogicznych. Szkoły te opierają się na przybudówkach licealnych, które w praktyce okazują się niewystarczającą i niewłaściwą formą rekrutacji na wyższe studia pedagogiczne. Gdybyśmy jednak przeznaczyli wyższe szkoły pedagogiczne dla pracującego nauczycielstwa, kurs wstępny rozszerzyłby zasięg rekrutacji na studia wyższe, przyczyniłby się do podniesienia kwalifikacji kandydatów do zawodu nauczycielskiego, zwłaszcza, jeżeli chodzi o wieś i młodzież wiejską.

W specjalnej sytuacji znajduje się młodzież chłopska, zwłaszcza rzucona w obce środowisko. Poza brakami materialnymi musi ona pokonywać opory, będące wynikiem przedziału kulturalnego między miastem a wsią.

Na ostatniej sesji Komisji Weryfikacyjno - Kwalifikacyjnej w Łodzi między egzaminatorem, a zdającym wywiązała się następująca kontrowersja:

Egzaminator: Proszę wymienić nowele Prusa, które Pan czytał?

Kandydat: „Michałko", „Antek", „Bartek Zwycięzca".

Egzaminator: — „Bartka Zwycięzcę" napisał ktoś inny.

Kandydat: — Nie, Prus.

Egzaminator: — Niech Pan sobie przypomni, na pewno napisał inny autor.

Kandydat: — Nie, ja wiem, Prus.

Egzaminator: — Pomylił Pan, „Bartka Zwycięzcę" napisał Sienkiewicz!

Kandydat: — Pan Profesor chce mnie nabrać! Ja się nie dam oszukać!

Profesor bezradny, przegląda dokumenty zdającego. Jest to młody samouk wiejski. Patrząc na jego uśmiechniętą „chytrze" twarz profesor mówi: — „Nie chcę Pana oszukiwać, na pewno napisał Sienkiewicz!"

Kandydat: — Mnie nie łatwo nabrać.

Sprawa staje się nieco kłopotliwa, egzaminujący zwraca się z uśmiechem do sąsiednego stolika, gdzie egzaminuje drugi polonista i pyta: — Może Pan Profesor powie, kto napisał „Bartka Zwycięzcę"?

— Oczywiście, Sienkiewicz!" — odpowiada drugi egzaminator.

Kandydat: — Panowie chcą mnie nabrać! Nie dam się!

STANISŁAW GIEROWSKI

Niestateczna współczesność

Jest rzeczą niezwykle ciekawą ze stanowiska zarówno społecznego, jak i artystycznego, śledzić stosunek społeczeństwa do pisarzy, a przede wszystkim do pisarzy walczących o nowe prawdy i idee. — Temat, który może interesować socjologa, psychologa, historyka, polityka i artystę.

W naszej literaturze konflikt między pisarzem a społeczeństwem występuje szczególnie ostro.

W tych luźnych uwagach chcę przypomnieć fakty na ogół znane, niedość jednak pamiętne, fakty które „współczesność niestateczna" odsyła do korekty-przyszłości.

Już w XVI wieku Modrzewski, pisarz polityczny, zwalczający prawa niesprawiedliwe wymierzone przeciw chłopom, pisarz, domagający się reformy Kościoła w Polsce i pragnący pogodzić ze sobą katolików i protestantów, naraził się zarówno duchowieństwu jak i szlachcie. — Pisma jego narobiły mu tyle wrogów, ściągnęły na jego głowę taką nienawiść, zwłaszcza Hozjusza i jego popleczników, że Modrzewski, w obawie „przed gwałtem otwartym i tajemnym", opuścił wójtostwo w Wolborzu i szukał osobistego bezpieczeństwa na tułaczce.

Nie mniej wrogów od Modrzewskiego miał Skarga, choć katolik i Jezuita, i to nie tylko wśród innowierców, ale także wśród szlachty i samych Jezuitów. — Dlatego w wydaniu trzecim „Kazań sejmowych" z roku 1610 opuścił Skarga „Kazanie o monarchii", aby nie narazić się Jezuitom, którzy nie chcąc utracić popularności wśród szlachty, nienawidzącej monarchii, wzbronili mu przedruku kazania, które złotą wolność nazywało wolnością piekielną.

Mimo wszystko pisarze XVI wieku mogli mieć to przeświadczenie, że twórczość ich nie idzie na marne, że są jeszcze ludzie, którzy ich książki czytają i na nich się kształcą. — Tego przeświadczenia nie mieli, niestety, pisarze XVII wieku i najlepsze dzieła tego okresu zalegały w rękopisach.

I dopiero w dwieście lat później w XIX wieku zaczęto na podstawie odkrytych rękopisów wydobywać literaturę XVII wieku z zapomnienia.

Za czasów saskich nie było na ogół sprzeczności ani konfliktów między literaturą a społeczeństwem, gdyż zarówno literatura, jak i społeczeństwo przeżywały upadek umysłowy i moralny. — Wyjątek stanowił tu Konarski, reformator szkolnictwa w Polsce.

Poza Konarskim i Leszczyńskim, nie literatura czasów saskich, lecz dopiero literatura za panowania króla Stanisława Augusta dała obraz walki z prywatą i wyłącznością szlachecką, uciskiem chłopów, zabobonami i przesądami — słowem z wstecznictwem i ciemnotą. Obojętność społeczeństwa szlacheckiego dla książek wyraził Naruszewicz w „Chudym literacie" w charakterystyce ciemnego i głupiego szlachcica i w skardze literata.

Naruszewicz, mimo swoich zasług dla narodu, nie uniknął podejrzeń i oszczerstw, zwłaszcza jako autor „Historii narodu polskiego", za krytykę duchowieństwa wieków średnich.

W ogóle zarzuty bezbożnictwa, niedowiarstwa, bluźnierstwa i t.p. uderzały nie tylko w wolnomyślnych księży, Staszica i Kołłątaja, ale także wierzących biskupów Naruszewicza i Krasickiego, jako autora „Monachomachii".

Kiedy w ostatnich latach niepodległości Polski postanowiono dokonać wszechstronnej reformy państwa, ogół szlachecki, zwłaszcza z początku ustosunkował się wrogo do jej projektodawców. — Doszło do tego, że na Józefa Wybickiego (przyszłego twórcę „Pieśni Legionów"), autora „Listów patriotycznych", w których on domaga się zniesienia pańszczyzny i załatwienia sprawy włościańskiej, szlachta rzuciła się z szablami i byłaby go zarąbała na śmierć, gdyby nie wziął go w obronę marszałek sejmiku w Środzie, na którym Wybicki ubiegał się o godność poselską na sejm walny. A sejm walny tegoż roku (1870) odrzucił „Zbiór ustaw" Andrzeja Zamojskiego, (do którego przyjęcia miały przygotować opinię publiczną wspomnianie „Listy patriotyczne"), dlatego, że odważył się umniejszać wszechwładztwo szlachty nad chłopami.

Większe powodzenie miały dzieła twórców Konstytucji 3-go Maja, Staszica i Kołłątaja, choć i ci mieli przeciw sobie całe stronnictwo staroszlacheckie, niechętne wszelkim reformom społecznym. — I ten konserwatyzm szlachecki sprawił, że obaj pisarze (a zwłaszcza Staszic) rezygnowali częściowo ze swego programu politycznego i domagali się niektórych zmian społecznych w sposób umiarkowany, a nawet połowiczny.

Kiedy Kołłątaj w swej przemowie „Do Prześwietnej Deputacji, dla ułożenia Projektu Konstytucji Rządu Polskiego, od Sejmu wyznaczonej" zaklinał mężów wybranych, aby się przygotowali „przeciw potwarzy, nienawiści i zemście, które interes prywatny, zepsucie serc ludzkich, znarowiona zuchwałość przeciw nim wywierać zechce" — miał na myśli i siebie i to nie tylko jako działacza, ale także jako pisarza politycznego, którego zresztą idee — w co Kołłątaj głęboko wierzył — wcześniej, czy później, zwyciężyć muszą.

Z epoki romantyzmu warto przypomnieć stosunek rozmaitych pismaków krajowych, a później emigracyjnych krzykaczy i warchołów, do twórczości artystycznej i działalności politycznej Mickiewicza. — Niewątpliwie krytycy ci byli wyrazem nastrojów oraz poglądów estetycznych i politycznych, wyznawanych przez pewne koła zarówno w kraju, jak i na emigracji.

Wiadomo, że największą burzę wywołały „Sonety krymskie", które Mostowski nazwał „paskudztwem", a o których pisał Kajetan Koźmian (ten sam, który później nazwał Mickiewicza „śmierdziuchem"), że w nich „wszystko bezecne, podłe", a sam Mickiewicz „półgłówek, wyrzucony ze szpitala szalonych, brudny i karczemny". — Inni recenzenci i krytycy wytykali w „Sonetach" „rzekome dziwactwa stylowe" prowincjonalizm, barbaryzmy, koloryt wschodni i, obce wyrazy. Na te ataki odpowiedział Mickiewicz w słynnym pamflecie „O krytykach i recenzentach warszawskich", ośmieszając w bezlitosny sposób parafiańszczyznę, zacofanie, głupotę, i nieuctwo krytyków warszawskich. Warto, aby i dzisiaj przeczytali i przestudiowali go rozmaici recenzenci oraz półinteligenci.

Na emigracji w Paryżu do krytyków i oszczerców Mickiewicza należał przede wszystkim Józef Bolesław Ostrowski, który z powodu powołania Mickiewicza na katedrę paryską w swoim organie „Nowa Polska" skarżył się, że „Pan Mickiewicz siebie jedynie widzi, osobiste wyniesienie — kiedy podobno wynioślejsze widoki należało rozebrać", że moskiewskimi sposobami, podstępem, skrytym usiłowaniem, wyrobił sobie katedrę, zamiast wejść do niej przez konkurs i wychwalał odpowiedniejszych, według niego kandydatów.

A kiedy „Młoda Polska" wzięła w obronę Mickiewicza, w odpowiedzi nie zawahał się Ostrowski o politycznych poglądach Mickiewicza napisać, że „trudno przewyższać osobiste i polityczne spodlenie samego Mickiewicza. — Nie wiemy, gdzie pan Mickiewicz doszedł do przekonana, że Mikołaj, car Moskwy, jest **Ojcem ludów.** — Takie wyrażenie podpisał Polak. — Czyliż nie pan Mickiewicz jaśniał na podwojach moskiewskiej, włoskiej i reńskiej arystokracji? — Teraz, gdzie jest? Czyli przy ludzie i życiu emigracji? Pan Mickiewicz zyskuje zaszczyt sposoby zupełnie Moskiewskimi". — Zakończył oświadczeniem, „że wstręt, wstyd i groza łamie nasze pióro, któremu odtąd nigdy tych słów Adam Mickiewicz skreślić nie pozwolimy". „Na nieszczęście dla siebie — dodaje tu Władysław Mickiewicz — słowa tego nie dotrzymał".

Takich oszczerstw w kraju i na emigracji było więcej, a zebrał je wszystkie bardzo starannie, opierając się na książce Władysława Mickiewicza (wydanie pierwsze Władysław Lutosławski w swoich „Wykładach Jagiellońskich"). — A więc Wł. Lutosławski przytacza, że „największy z Polaków był przez niektórych współczesnych sobie pisarzy nazwany: „wariatem, głupcem, umysłem mącącym, zmiennym, sofistycznym, pozbawionym dobrej woli i pokory — stronnikiem zasad arystokratycznych i socjalizmu najprzeciwleglejszego porządkowi — agentem cara Mikołaja i wielbicielem Moskwy".

Nie dość na tym. Oskarżano Mickiewicza o „złorzeczenie polskim świętościom narodowym", zaparcie się Polski, miłość ukazów cesarskich i knuta, służenie intrydze jezuitów, dążenie do zniesienia różnicy katolicyzmu i schyzmy".

Czyż trzeba jeszcze dodawać do tej litanii zarzutów i oszczerstw znane słowa Krasińskiego o „Trybunie Ludów", które autorowi „Nieboskiej" wcale ani sławy ani zaszczytu nie przysporzyły — że pismo to z „samych łajdaków złożone", a Mickiewicz „to doskonały Żyd"? I czyż trzeba jeszcze dać obraz życia i twórzości Słowackiego, aby uwydatnić małość, głupotę i złą wolę rozmaitych pismaków i wstecznków, aby unaocznić gorzką i tragiczną niekiedy dolę poetów polskich.

Uwydatnił i uczynił ją, jeśli chodzi o Mickiewicza, Cyprian Kamil Norwid w wierszu „Coś Ty Atenom zrobił Sokratesie".

Przeciwstawiał się również Norwid jak najbardziej stanowczo taniemu i bezmyślnemu kultowi przeszłości i autorów zmarłych przy równoczesnej obojętności i pogardzie dla żyjących. W jednym z listów Norwida do J. Koźmiana czytamy: „Do tych wieków dlatego, że minęły i że z książek, a nie z ducha znamy je, ileż to razy sami (depcąco, o ile z nich **żywego** się pokaże) przecież z utęsknieniem nawołujem? Można by z tego wnosić, że wszystko, co wzniosłe i gorące, dopiero w swym skonaniu, dopiero w literaturze nas pociąga. Że więc tęsknimy do śmierci tego, co wzniosłe i gorące. — Jest to, jak Chrystus Pan powiada, stawianie grobów prorokom, których ojcowie pierw zabili".

Rozprawą ostateczną, pełną zjadliwej ironii z „powiatowością" i parafiańszczyzną tych, którzy gotowi szarpnąć i oczerniać wielkich, by po śmierci urządzać jubileusze, z wyraźnym samochwalstwem, że to „myśmy „go wydali", jest **„List do Walentego Pomiana Zakrzewskiego.** Któż — zapytuje Norwid (utwór pisany w r. 1859) z dawnych krytyków i recenzentów warszawskich nie uczciłby dziś Mickiewicza i nie zaprzeczył swoim dawnym sądom, gdyby nie to, że Mickiewicz uwiecznił ich nazwiska... gdyby nie zostawił wieści

O krytykach warszawskich i recenzentach
Niejeden dziś z objętych w pisma tegoż treści
Niejeden z onych, którzy żółć mu nieśli zgniłą,
Przeczytałby: **„Jako żywo"** (mówiąc) tak nie było
Wcale nie! — uczciliśmy poetę, aż miło".

I potem podobnie o Słowackim:

Że nie **on,** oni raczej, przy zmysłach niezdrowych
Będąc, nadziei jednej szukali: z nieładu!
Aż po niemałej trudów i bólów kolei
Przypomnieli nareszcie „Potrzebę idei!"
Czy mniemasz, że ciż sami dziśby nie **głosili:**
Jako żywo! mniej więcej Juliusza-śmy czcili.

Tyle Norwid o Mickiewiczu i Słowackim.— Byłoby jeszcze interesującym zastanowić się nad stosunkiem społeczeństwa do haseł i idej, głoszonych przez Prusa, Konopnicką, Świętochowskiego i Orzeszkową, w związku z przemianami ekonomicznymi i społecznymi, jakie dokonały się wtedy w Polsce.

A jeszcze bardziej pouczającym byłoby przedstawienie walki pewnego odłamu społeczeństwa ze Stefanem Żeromskim. Warto tu przypomnieć, że jedno z pism, które prowadziło przeciw wielkiemu pisarzowi nikczemną kampanię i domagało się odebrania mu orderu Polonia Restituta w niedługi czas potem, po śmierci Żeromskiego, uczciło jego pamięć „przyłączając się do żałoby całej Polski za namiętnym strażnikiem polskiej kultury". Czyż to nie charakterystyczne dla naszego samożerstwa i to, „że wszystko co wzniosłe, swym skonaniem nas pociąga".

Stanisław Gierowski

STANISŁAW SZENIC

Potęga i wpływy kapitalizmu

w obecnych Niemczech

Przemysłowcom niemieckim udało się szybko opanować sytuację po 1918 roku. Już w Republice Weimarskiej oni tworzyli prawa, prawdziwe zaś Eldorado otworzyło się dla nich, gdy przy ich pomocy Hitler doszedł do władzy. Spotęgował się okres łączenia przedsiębiorstw kapitalistycznych w coraz większe koncerny. Ciekawe cyfry, ilustrujące opanowywanie przedsiębiorstw przez kapitał monopolistyczny, podała berlińska „Taegliche Rundschau" w numerze 31 z 6 lutego 1947 roku. Podczas gdy po wprowadzeniu „Rentenmark" w 1925 roku w Niemczech istniało jeszcze 13 tysiecy towarzystw akcyjnych, w 1933 roku było ich już tylko 9.150, a w 1943 roku tylko 5.350. Kapitał zakładowy spółek akcyjnych wzrósł zaś z 19 miliardów marek w 1925 r. do prawie 30 miliardów marek w 1943 roku. Przeciętny kapitał zakładowy niemieckiej spółki akcyjnej wynoszący około 1,5 miliona marek w 1925 r. powiększył się na 5,5 miliona marek w 1943 roku.

Rozwój wielkich przedsiębiorstw wykazuje że w 1927 roku istniało w Niemczech 158 towarzystw akcyjnych o kapitale zakładowym 20 milionów marek i więcej. Tych 158 spółek akcyjnych obejmowały razem 10 miliardów marek kapitału akcyjnego t. zn. prawie połowę, bo 46.7 proc. kapitału akcyjnego wszystkich przedsiębiorstw niemieckich. W 1942 roku, a więc zaledwie po upływie lat 15-stu, połowa kapitału akcyjnego (48,7 proc.) była skupiona w zaledwie 107-miu przedsiębiorstwach. W tym samym okresie ilość drobniejszych przedsiębiorstw akcyjnych o kapitale zakładowym poniżej 20 milionów marek zmniejszyła się o 6.664. Przy końcu 1927 roku koncerny skupiały około 63 procent niemieckich towarzystw akcyjnych, w 1930 roku już 72 procent, a w 1932 roku 84 procent, a w 1935 roku, po dojściu Hitlera do władzy przy poparciu przemysłu, aż 90 procent. Cyfra warta zapamiętania. 90 procent niemieckiego kapitału akcyjnego było opanowane przez koncerny.

Jeszcze lepszy obraz potęgi i wpływów koncernów w gospodarce niemieckiej otrzymujemy przy przeglądzie poszczególnych gałęzi przemysłu. Przemysł nawozów sztucznych był opanowany przez koncerny w 100 procentach. Na czele stały koncerny Wintershall z 38-miu procentami udziałów w syndykacie nawozów sztucznych, Salzdetfurth z 22 procentami i Burbach Gumpel z 17 procentami. W roku 1927 koncerny skupiały już 93 procent kapitału akcyjnego wszystkich kopalń, a mianowicie 90 procent węgla kamiennego i 95 proc. węgla brunatnego. Pod koniec 1927 roku było zjednoczonych w koncernach 82 procent wielkiego przemysłu żelaznego, a przemysłu przeróbki metali nawet 89 procent. W 1925 roku z 268 niemieckich wysokich pieców 233 znajdowały się w posiadaniu 18-tu koncernów. Stanowiło to 90 proc. pojemności wszystkich pieców. W przemyśle elektrotechnicznym w tym samym czasie było skupionych w koncernach 84 procent kapitału akcyjnego. Na czoło koncernów wysunęły się tutaj dwa olbrzymy: AEG i Siemens. W przemyśle chemicznym związanych w koncernach było 78 procent kapitału akcyjnego, przy czym na czele szły monopolistyczne I. G. Farben, w czasie wojny jedno z największych przedsiębiorstw zbrojeniowych. Przemysł spożywczy był w 83 procentach opanowany przez koncerny. Koncerny zapuściły swoje macki również w dziedzinę artystyczną. W produkcji filmowej koncern Hugenberga UFA opanował 90 procent kapitału akcyjnego.

Z cyfr tych wynika jak na dłoni potęga koncernów w Niemczech. Gdy się weźmie pod uwagę inne przemysły, zależne od wyliczonych powyżej przemysłów podstawowych, to jasnym staje się, że w Niemczech całym życiem gospodarczym kierował monopolistyczny kapitał.

Jak wygląda sytuacja obecnie? W zonie sowieckiej potęga koncernów została de facto złamana i poszczególne przedsiębiorstwa przeszły w zarząd krajów. Inaczej przedstawia się sytuacja w zonach zachodnich. Tuż po kapitulacji ogarnął baronów węglowych i stalowych zrozumiały przestrach przed utratą przedsiębiorstw i wpływów. Niebawem z przestrachu tego się otrząsnęli i zaczęli starać się o ugruntowanie swej pozycji. Ciekawą ilustracją tego stanu jest kurs akcji szeregu przedsiębiorstw monopolistycznych:

Nazwa koncernu	Urzędowy kurs akcji w czasach hitlerowskich	Kurs giełdowy w listopadzie 1945	Kurs z końcem grudnia 1946
Stahlverein	170	107	141
AEG	153	79	131
Siemens	133	86	130
Daimler	159	105	160
Bayrische Motorenwerke	156	86	118

Kurs akcji, wyjąwszy akcje Daimlera, niezupełnie powrócił do normy z czasów hitlerowskich. Jeżeli się jednak weźmie pod uwagę, że przymusowy kurs akcji leżał powyżej ich rzeczywistej wartości, to należy stwierdzić, że przegrana wojna nie pozostawiła większych śladów na niemieckich koncernach znajdujących się na zachodzie Niemiec.

11 lutego 1947 r. gubernatorzy wojskowi w amerykańskiej i angielskiej zonie okupacyjnej ogłosili ustawy dotyczące odkartelizowania przemysłu. Obydwie ustawy zakazują udziału niemieckiego przemysłu w wewnętrznych lub międzynarodowych umowach i układach kartelowych, które mają na celu ograniczenie wolności handlowej. Przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej 10.000 osób uważa się za „nadmierną koncentrację potęgi przemysłowej". Jeżeli kontrola wykaże, że fabryki mają rzeczywiście taki charakter, zostaną one w myśl ustawy zakazane. Jedyna różnica między ustawą angielską i amerykańską polega na tym, że ustawa amerykańska uważa za wyraźnie pod nią podpadające wszelkie przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej 10.000 osób, chyba że zarząd wojskowy wyraźnie zezwoli na ich dalsze istnienie. Ustawy zostały oparte na artykule 12 Umowy Poczdamskiej, dotyczącym decentralizacji gospodarki niemieckiej. Jak wyjaśnił kierownik wydziału likwidacji karteli w amerykańskim zarządzie wojskowym James M. Martin, ustawa w obydwu zonach dotyczy około 30 koncernów obejmujących ok. 3 miliardy marek kapitału. W szczególności w zonie amerykańskiej dotyczy ustawa towarzystwa akcyjnego Opel, zatrudniającego 22.000 pracowników, przedsiębiorstwa Bosch w Stuttgarcie, zatrudniającego 15 tysięcy pracowników, Deutsche Gold-und Silberscheideanstalt we Frankfurcie zatrudniającego 10.000 pracowników i Metallgesellschaft we Frankfurcie zatrudniającego 10.000 pracowników. Zbadaniu ma ulec dalszych 70 przedsiębiorstw.

W porównaniu ze stanem w okupacyjnej zonie sowieckiej nieźle się nadal dzieje ciężkiemu przemysłowi w zonie zachodniej. Mówi się o tym, że amerykański koncern przemysłu zbrojeniowego Dupont przez podstawionych Szwajcarów nabył większość akcji w 35 przedsiębiorstwach IG-Farben. Coraz więcej mówi się o kontrolowaniu przemysłu stalowego i węglowego w Zagłębiu Ruhry przez przemysł angielski oraz o kontrolowaniu przemysłu chemicznego i lekkich metali przez przemysł amerykański. Przemysł zachodni inwestował po pierwszej wojnie światowej 18 miliardów dolarów w niemieckim przemyśle zbrojeniowym i umożliwił temu przemysłowi przygotowanie i długotrwałe prowadzenie drugiej wojny światowej.

Na połączenie pewnych sfer przemysłowych amerykańskich z przemysłem w Zagłębiu Ruhry rzucił ciekawe światło Albert Norden w artykule „Szara Eminencja" w numerze 11 „Die Weltbuehne" z grudnia 1946 r. Okazuje się, że bankier koloński Kurt von Schroeder, który w styczniu 1933 roku przez pojednanie Papena z Hitlerem umożliwił dojście do władzy Hitlerowi, jest kuzynem Helmutha Schrodera, szefa angielsko - amerykańskiego domu bankowego J. Henry Schroder & Co.

Wymieniony bank założył urodzony w 1867 roku w Hamburgu i tamże wychowany Bruno Schröder, który przez skreślenie kresek nad literą ö zanglizował swoje nazwisko po przyjęciu obywatelstwa angielskiego. W zarządzie nowojorskiego banku J. Henry Schroder zasiada Allen W. Dulles, brat Johna Forstera Dullesa, wybitnego adwokata i doradcy politycznego partii republikańskiej Stanów Zjednoczonych. Wystąpienia Johna Forstera Dullesa na arenie międzynarodowej zajmowały ostatnio dużo miejsca na łamach prasy zagranicznej. Norden w cytowanym artykule wykazuje prosympatie hitlerowskie H. J. B. Schrodera i obydwu Dullesów i udzielone partii hitlerowskiej czynne poparcie.

Zrozumiałe stają się w tym zestawieniu pewne pociągnięcia sfer przemysłowych na zachodzie. Oczywiste jest, że sfery przemysłowe zachęcone powodzeniem, jakie osiągnęły w Republice Weimarskiej, dokładają wszelkich starań, aby utrzymać i obecnie swoje wpływy. Baczną należy zwrócić uwagę na ich pociągnięcia. Czy tak nikłe w narodzie niemieckim przekonania demokratyczne wezmą obecnie górę i nie pozwolą wielkiemu przemysłowi na powtórzenie udanego eksperymentu w Republice Weimarskiej? Nie może panować w Europie trwały pokój, jeżeli niemiecki kapitał monopolistyczny nie zostanie rozbity również na zachodzie i nie straci swych wpływów w kuźni zbrojeniowej nad Ruhrą.

Stanisław Szenic

ARTUR SANDAUER

ŚMIERĆ LIBERAŁA

Cena zł 250,— Str. 185.

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"
1947

EDWARD PUACZ

KOSYNIERZY GDYŃSCY

opowieść z życia marynarzy

Nowość Cena 200 zł
Skł. Gł. „WIEDZA"

DEKORATOR POLSKI W PARYŻU

Przebywający od szeregu lat we Francji dekorator polski Zenobiusz Strzelecki, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w W-wie i PIST, osiągnął ostatnio duże uznanie w teatrach paryskich jako autor dekoracji (występuje pod pseudonimem Polon) do „Edypa w Kolonie" Sofoklesa, granej w teatrze „Odeon", do dramatu Claudela L'Otage („Zakładnik") w Théatre du Palais de Chaillot oraz do sztuki p. t. „Les aventures de Parluplin" Garcia - Lorca, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli nowoczesnej poezji hiszpańskiej i uczestnika walk o wolność Hiszpanii.

W latach 1937—1939 Strzelecki dał się poznać jako dekorator sztuk wystawianych przez „Warsztat Teatralny" PIST w W-wie (m. in. „Zwiastowania" Claudela, „Kaprysów Marianny" Musseta, „Althei" Faleńskiego i „Jutro" Conrada). Z K.

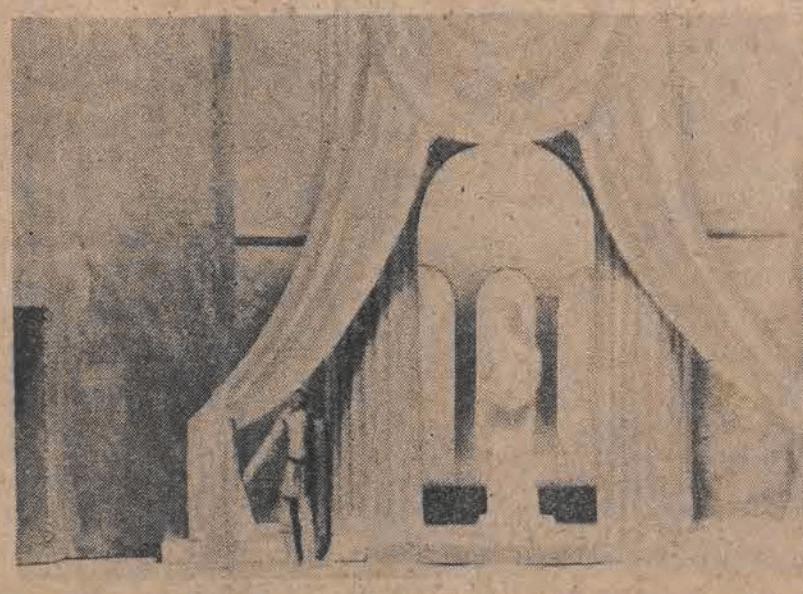

Z. STRZELECKI — DEKORACJA DO „CYNNY" CORNEILLE'A

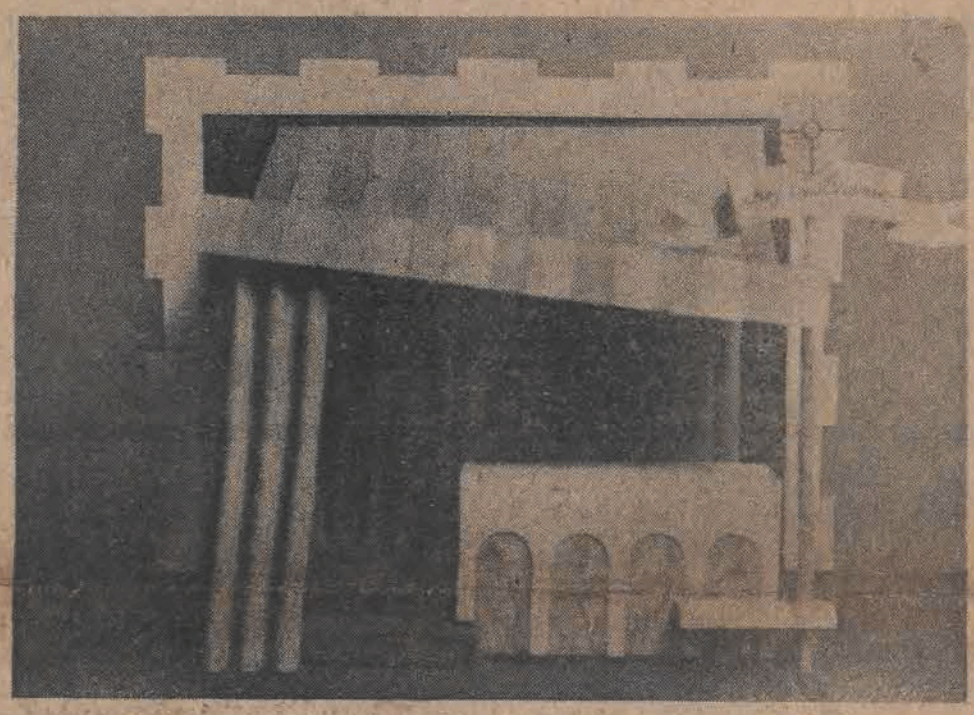

Z. STRZELECKI — MAITRE PATHELIN

Z. STRZELECKI — DEKORACJA DO „JUTRO" CONRADA

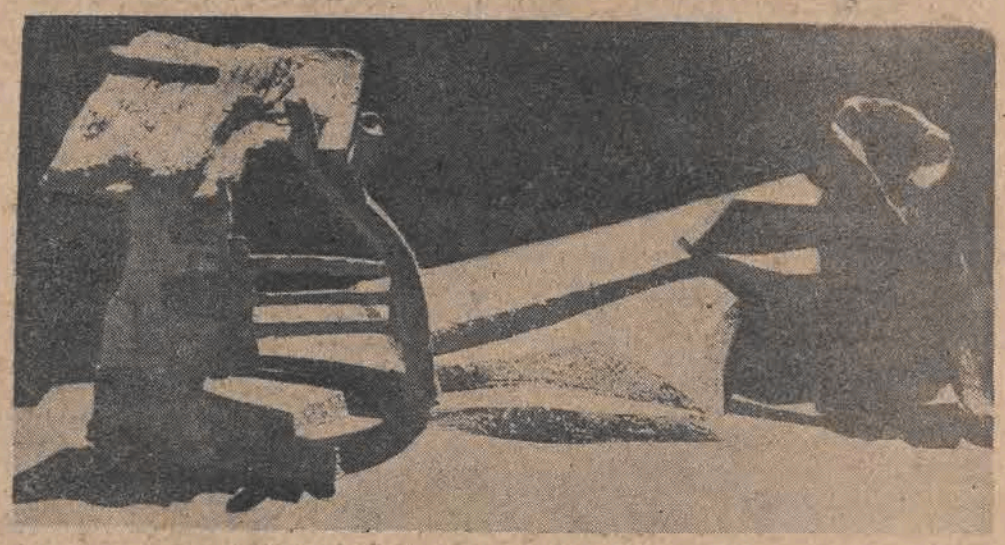

Z. STRZELECKI — „ZWIASTOWANIE"

PAWEŁ HERTZ

SEDAN*) (IV)

(zakończenie)

Opowiadanie moje zbliża się ku końcowi. Ale nie byłoby pełne i czytelnik odczułby brak wyraźnego finału, jak słuchacz, gdy solista urywa kilka taktów przed końcem utworu, kilka taktów, które widnieją w partyturze i które zna każdy bywalec koncertów. Wypada mi więc zdać pokrótce relację z owych niespokojnych miesięcy ostatniego przedwojennego roku. Raz jeszcze zjawić się musi, niby motyw muzyczny, stryj Hieronim, raz jeszcze, zanim zacznę poznawać drugą stronę medalu samotności, będę musiał uciekać od klęski do klęski. Tymczasem jednak, aby nie naruszać prawideł dobrej kompozycji, wróćmy do Paryża wiosną 1938 roku.

Mieszkałem tu jak zwykle samotnie w malutkim hoteliku między placem St. Sulpice i ogrodem Luksemburskim. Gdy wszystko chyliło się ku upadkowi, postanowiłem utrwalić i usystematyzować w mojej pamięci obraz kontynentu i jego dzieje. Dlatego zapisałem się na wykłady dotyczące historii kultury europejskiej. Poranki spędzałem w ciemnym audytorium, tuż koło Panteonu, a popołudnia w bibliotekach. Lubiłem jak dawniej obrazy, ale założyłem sobie surową dyscyplinę i Luwr odwiedzałem tylko w niedzielę. Stwarzałem wokół siebie wszelkie pozory spokoju i stabilizacji, ale byłem już niepewny i zagłębiając się w strukturę wczesnych urządzeń feudalnych zadawałem sobie niespokojnie pytanie, czy zdołam dotrzeć w moich studiach choćby do wieku XVIII. Równoległa lektura gazet zaprzeczała temu pytaniu. Powoli zapoznawałem się ze światem, nawiązując poprzez znajomych studentów znajomości z politycznymi emigrantami. Byli to Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Austriacy. Rozpoczynała się właśnie wielka kampania czeska.

Gdzieś w końcu lata ogłoszono początkową mobilizację. Wojna wisiała na włosku, ale nikt nie chciał bić się o Czechów. Porzuciłem zakurzone książki i uczyłem się dziejów upadku współczesnej Europy z rozmów, z gazet, z włóczęgi po dworcach, gdzie rekruci drzemali na swoich kuferkach, czekając na pociągi. Przypominało to wszystko straszną zabawę, ale pozostawiało cień nadziei. W ciągu kilku dni wszystko się uspokoiło, a dworce przybrały wygląd codzienny. Przepełnione były tylko pociągi podmiejskie, zwłaszcza w soboty.

Mógłbym teraz cofnąć się wstecz i korzystając z chwilowego uspokojenia, wzorem wielu poprzednich stronic, opisać Paryż, jego ulice, mokre od deszczu asfalty, Sekwanę i chwiejące się na niej zielone czółno, kolorowe markizy kawiarni, nocny bulwar Clichy, smutne piosenki i akordeon w pustym bistro o świcie lub rozległy plac Zgody. Ale nie mogę przerwać niestety suchego opisu zdarzeń żadnym obrazem, bowiem w owe dni obrazy jakgdyby oddzieliły się od swoich treści i straciły znaczenie. Wiedzieliśmy już dobrze że układ, kształty , barwy i współzależność przedmiotów jest prowizoryczna, że lada chwila wszystko się zmieni. Rzecz szła teraz o Hiszpanię, która przed miesiącami cofała się powoli, a teraz biegła już śmiertelnie zraniona ku francuskiej granicy, by wreszcie patrzeć zza drutów koncentracyjnych obozów poza rudawe Pireneje ku gwieździe, na którą być może w tej chwili spoglądali zakochani, przechadzając się czule po ulicach San Sebastian i przez lunety lustrując niedawne pola wielkiej bitwy. Potem rzecz szła o Pragę którą oddano bez protestu. Gdy minęło Monachium, wiedziałem już napewno, że po drugiej stronie medalu samotności jest napis: klęska.

Europa owych lat przedwojennych była niby wielkie laboratorium, gdzie tak zapóźnionym jak my uczniom demonstrowano historię w przyśpieszonym tempie, aby mogli zdążyć jeszcze na swój egzamin dojrzałości. W tyglach Hiszpanii i Czechosłowacji topiły się jak wosk wielkie słowa o demokracji i liberaliźmie. Prawda wypływała na wierzch jak oliwa, gdy jeden tylko kraj posłał Hiszpanii broń i zabrał małe dzieci, gdy jeden tyko kraj protestował przeciwko Monachium.

W owych miesiącach przyśpieszonej nauki zdałem sobie jasno sprawę, że to co budzi we mnie naprawdę żal, nienawiść, rozpacz lub miłość, nadzieję i wiarę, to już nie tyko obrazy i książki, ale przede wszystkim sprawa ludzka. Samotność znikła, a jeśli oglądałem obrazy, to patrzyłem teraz na plan pierwszy, na twarze ludzi i aniołów, czułem ciężar i wagę materii. Martwe natury i krajobrazy były pogodzone ze światem, niezgoda którą dostrzegałem w nich poprzednio istniała tylko we mnie samym.

W owych latach przedwojennych łatwiej było znaleźć drogi do prawdy właśnie dopiero wtedy, gdy sprawa ludzka stawała się najbardziej zagrożona. Solidarność z człowiekiem, czy solidarność z martwym, choćby najpiękniejszym przedmiotem—tak brzmiało hasło, a wybór był tym łatwiejszy, że ci co nie szanowali sprawy ludzkiej, nie szanowali sprawy rzeczy stworzonych ręką człowieka. Ale to przełamywanie dawnych wierzeń i likwidowanie dawnych nieufności nie odbywało się automatycznie i tym było trudniejsze, im więcej kto w sobie nosił wspomnień, im bardziej wiązały go nawyki i tradycje.

Powróćmy skolei do owego dnia, gdy oczekiwaliśmy Monachium. Wypadki nie zaskakiwały mnie już teraz, jak to się zdarzało w Wiedniu. Byłem lepiej przygotowany.

Zaproszono mnie tego dnia do pani Serezol, której apartamenty dawały piękny widok na rozległy plac Inwalidów. Był to zwykły dzień koncertu kameralnego, jaki odbywał się tam każdego czwartku. Pani Serezol mimo pozorów snobizmu, interesowała się naprawdę muzyką i miała nawet wiele smaku. Koncerty kameralne z jednej strony gromadziły w jej domu dość doborowe towarzystwo artystyczne, z drugiej zaś pozwalały jej na taktowną i delikatną filantropię w stosunku do młodych i zdolnych muzyków. Sezon w tym roku niepokojów nie zaczynał się w uświęconym okresie listopada, koncerty odbywały się już od kilku tygodni. Trafiłem tam dzięki jednemu z moich przyjaciół, który znał dobrze gospodynię, wdowę po bogatym szwajcarskim bankierze, zainstalowaną od lat w Paryżu. Pani Serezol przypominała mi z wyglądu moje ciotki. Mieszkanie, urządzone ze skromnym i taktownym smakiem, było podobne do tych starych i solidnych domów mieszczańskich w których czułem się tak dobrze. W owych latach snobizm cyganerii przerodził się w kult solidności i umiaru. Była to również jedna z form obrony przed zbliżającą się klęską.

Tego czwartku miał koncertować młody czeski skrzypek. Program nie zapowiadał się ciekawie, był raczej popisowy. Mimo to zdecydowałem się pójść, chciałem bowiem wdrożyć się bodaj na godzinę w normalny tryb światowego życia.

Przyszedłem dość późno i nie znajdując miejsca w krzesłach, stanąłem we framudze otwartego na wielki plac okna. Pani Serezol w sukni zapiętej pod szyję skinęła mi w odpowiedzi na mój ukłon kwiatem, który trzymała w ręku, a którego nie potrafiłem sklasyfikować.

Czech wyszedł z przyległego pokoju. Był to młody człowiek niewielkiego wzrostu, miał jasne włosy gładko przyczesane na skroniach. Akompaniator przerzucał leniwie nuty. Potem odłożył je znudzony, na znak że może się bez nich obyć po chwili jednak otworzył je znowu. Czarna płyta fortepianu ustawionego po środku salonu odbijała okno i kształt obłoków sunących po niebie. Byłem poza tą salą i przyznam, byłem wogóle poza tym pokojem. Czech przesunął smyczkiem po kilku strunach dla próby.

— Jeśli podpiszą, to sprawa tylko się odwlecze na parę tygodni — powiedziałem nagle do siębie głośno po francusku. Zrobiłem to mimowiednie, ale fakt, iż wypowiedziałem zdanie po francusku nasunął mi odrazu myśl, że czekam czyjejś odpowiedzi. Jestem pewien, że pragnąłem wówczas otrzymać odpowiedź przeczącą, która by mi zagwarantowała, że nic nam nie grozi, że będziemy się spotykać każdego czwartku na koncercie u pani Serezol, teraz i czasu wiecznego.

— O czym pan mówi? — spytał siedzący nieopodal starszy pan o siwych włosach.

Zdołałem rzucić zaledwie jedno słowo: „Monachium", gdy rozległy się pierwsze dźwięki fortepianu. Siwy pan zatrzymał głowę w ruchu potakującym. I dopiero gdy skrzypek wyprowadził pierwsze frazy czysto i bezbłędnie, starszy pan spojrzał na mnie i powoli skinął dwukrotnie głową. Ale nie wiedziałem, czy potakuje mojemu pytaniu czy grze czeskiego skrzypka.

Koncert powoli kończył się w miarowych kadencjach, jakgdyby ktoś wstępował na wysokie wzgórze, skąd roztacza się piękny i rozległy widok, a potem schodził na czarną i smutną ziemię.

Wtedy właśnie za oknem rozległ się krzyk gazeciarzy. Ta wieść niedobra zastała salon zasłuchany. Stałem najbliżej okna i dlatego odwróciłem się, by spojrzeć na wielki plac, gdzie grupkami stawali przechodnie. Czech zawiesił na chwilę smyczek nad struną, spojrzał na mnie i widocznie zrozumiał, bo wstrząsnął gwałtownie głową i jasny kosmyk włosów spłynął mu na czoło. Nic też dziwnego, że ostatnia fraza wypadła bardzo blado. Teraz pani Serezol podała mu to, co zdaleka wydawało mi się kwiatem, a co w istocie było pozłacanym, sztucznym liściem lauru. Ale skrzypek nie wyciągnął ręki i złoty liść upadł na podłogę z szelestem. Goście siedzący najbliżej pani domu wstali pośpiesznie, by zatrzeć wrażenie, jakie wywołał poniechany dar. Czech pozostał sam jeden na środku, przed amfiteatrem krzeseł, złożył skrzypce, zatrzasnął futerał i wyszedł.

Zbliżyłem się do pani Serezol. Podała mi rękę.

— Co to się stało? Pan był najbliżej okna, czy są dodatki nadzwyczajne? — pytała spokojnie, patrząc na laur, którego nikt nie miał odwagi podnieść.

— Podpisano ugodę w Monachium — odpowiedziałem, patrząc za jej wzrokiem.

— Ach, to świetnie. W ostatnich miesiącach trudno już było żyć. Wogóle latem nie wyjeżdżałam. Rozumie pan, lato w Paryżu! Ale dlaczego pan jest taki smutny? — Pani Serezol zmieniła nagle głos, potem ujęła mnie za rękę i powiedziała tonem kondolencji:

— Rozumiem, to pański kraj... votre malheureux pays... — Paru ciekawych skierowało na mnie spojrzenia. Roześmiałem się sztucznie:

— Ależ nie, to chodzi tylko o Czechów... to nas zupełnie nie dotyczy — mówiłem z pewnym zadowoleniem i myślałem przez chwilę, że to nas przecież naprawdę nie dotyczy. Przypomniałem sobie wyjazd z Austrii i tę daremną pociechę, że mnie to wszystko nie dotyczy. Tu, w salonie pani Serezol, byłem przecież daleko od klęski. Tu wszystko było solidne i trwałe, jak ten liść lauru z którego nawet obcasy nieostrożnych gości nie starły złotej politury. Aby upewnić się, że nic jej nie zetrze, podniosłem nagle poniechany laur i podałem go pani Serezol:

— Merci... — powiedziała machinalnie i kiwnęła mi laurem na pożegnanie.

Był tylko trochę zakurzony.

Dni mijały teraz szybko. Stopniowo monachijska radość ustępowała miejsca niejasnym uczuciom lęku. Wiedziano dobrze, że klęska jest nieunikniona, nikt bowiem nie starał się nawet powstrzymywać niemieckich i włoskich czołgów. Upadła Hiszpania, zabrano Pragę. Jak w szachach,konie i wieże groziły królowi, a ten nie miał już prawie osłony, mógł tylko zręcznymi ruchami odwlekać mata.

Karnawał 1939 roku był weselszy niż zwykle. Nie mieliśmy już nic do stracenia. Porzuciłem na dobre wykłady, nocami włóczyłem się po Montmartre, lubiłem zapuszczać się do podejrzanych dzielnic w okolicy placu Bastylii i Republiki, nad ranem jeździłem pierwszym metrem do stacji Barbes-Rochechouart i wpinałem się stromymi ulicz kami na wzgórze, aż do brzydkiej i białej bazyliki. Gdy szedłem, w oknach brudnych domów zapalały się lampy. Potem otwierała się brama, wysuwał się z niej jakiś

*) Opowiadanie wyjęte z tomu „Sedan", który ukaże się nakładem Sp. Wydawniczej „Książka"

JALU KUREK

PAVANA NA ŚMIERĆ INFANTKI

(FRAGMENT)

AKCJA LIRYCZNA:

Dwie wieże lśniące
Iglesia de la Sagrada Familia
rozcięły dojrzały świt.
Nad placem Medina Medinilla
księżyc się jeszcze tlił
jak niedogaszony papieros.
Wraz ze wstającym słońcem
śpiewali caballeros:

Mariana, cech, Mariana,
hermosa es manana,
czerwony jest ranek, czerwony jest dzień.
Serce nam w piersiach zmień,
serce nam z piersi weź,
nim złoty zabłyśnie dzień,
nim słońce rozpocznie rzeź.
Czerwona jest w sercu rana,
którą nosimy od nocy do rana.
Serce nas boli, serce nam zmień,
serce nam weź, o ukochana.

Na Plaza Jesus
słońce parzy okrutnie jak gorączka w ciele.
O sóle, sole crudele,
za wiele cierpimy, za wiele.
Złoty wypłynął dzień.
Upał rozpoczął rzeź.
Serce nam w piersiach zmień,
bo zmęczone.
Serce nam wyrwij i weź,
bo zgubione.

Śpiewała łopocząca czerwienią jak sztandar,
idąc w posępną Calle Mayor
i w Puerta Ramaganda:
— Ay de mi, ay, senor,
quanta margura y dolor!
Quando
el sole esta culando
una plegaria y un amor!

Zachód opada w Paseo Colon,
gdy idzie on, Don Ramon.
Mariana lękliwa i trwożna.
— Chciałabym wziąć cię ku nam pod dachy kamienic,
ale nie można.
W szkarłatny zachód wkraczasz
ze słońcem tlącym jak papieros.
Adios, muchachas!
Adios, companeros!

MARIANA ŚPIEWA:

W ognistej zorzy łka zraniony ptak.
Ktokolwiek jesteś, zrozum prawdę tych słów.
Odpowiedź: tak.
W chmurach róża.
W róży rosy kropelka, co lśni.
Ta rosa jest z krwi.

Księżyc płonie nad Kastylią,
nad czarną Kastylią mej wsi.
Chcę być różą, a nie lilią,
zakochaną w barwie krwi.

ANTYFONA:

Infantko,
ręce twoje zdala
wieją nad nami grzesznymi.
Zmiłuj się, różany kwiecie
z płatkami białymi!

cień, przystawał chwilę pod oknem, w oknie stawała kobietai przesyłała ręką pocałunek w ciemność. Cień ginął za rogiem. Tymczasem śmieciarze zbierali śmiecie do worków a koty wracały z nocnych łowów. Tam, gdzie ulica otwierała się na wielki taras przed bazyliką, wiał świeży, poranny wiatr. Jeszcze kilka kroków i mogłem zobaczyć ogromne, ciemne miasto, rozłożone przede mną niby plastyczny plan. Stopniowo zapalały się światła w domach, najpierw w ubogich dzielnicach lewego brzegu, potem oświetlały się okna w pięknych dzielnicach. Tam wstawała zapewne służba. Jednocześnie gasły gwiazdy nad Paryżem. Świtało Z różowej chmury, wiszącej nad Vincennes wschodziło słońce. I w ostrym ,jeszcze bladym świetle dnia, widać było, jak ze wschodu ciągną nad miasto obłoki. Klęska wisiała na Paryżem, a najlepiej widać ją było o świcie z wysokiego wzgórza Sacre-Coeur.

W te dni pojawił się zawsze trzeźwy stryj Hieronim. Tym razem znał pewnie mój adres, gdyż odwiedził mnie niespodziewanie pewnego lipcowego ranka . Do mojego pokoju można było wejść bez trudu, naciskając klamkę, to też Hieronim znalazł mnie spoczywającego w półśnie. Nie zdejmując miękkiego, szarego kapelusza i żółtych rękawiczek, nie wypuszczając z dłoni laski z kościaną gałką, Hieronim zasiadł w pobliskim fotelu i przyglądał mi się ze zgorszeniem. W półmroku nie dostrzegaliśmy wyraźnie naszych rysów.

— Dzieńdobry, stryju — zawołałem głosem, który udawał wesołość. — Kiedy stryj przyjechał?

— Przed godziną. Twój ojciec dał mi ten adres. Prosił, żebym się z tobą zobaczył. Kto to widział spać — Hieronim wyciągnął zegarek na złotej dewizce — o dziewiątej rano? No, no, ładnie cię wychowali! — podszedł do zasłoniętego okna i rozsunął story. Musiałem bardzo źle wyglądać, bo na mój widok Hieronim zatrzymał się wpół drogi między oknem i fotelem ku któremu zmierzał.

—Doskonale stryj wygląda — pośpieszyłem z komplementem. Istotnie wyglądał młodzieńczo i świeżo.

— Nic dziwnego, mój drogi, pracuję, wstaję wcześnie, gimnastyka, nie piję — mówił zamyślony, jakgdyby chciał mi dokładnie wyliczyć wszystkie elementy, jakie składają się na dobre samopoczucie człowieka w jego latach — Gdybyśmy prowadzili się tak jak wy, no to byśmy dziś ładnie wyglądali — roześmiał się gorzko

Ale dość o tym! Czy wiesz, po co przyjechałem?

Byłem tak obojętny wobec wszystkich spraw, że spojrzałem tylko na niego pytająco.

— Sprzedaję nasze paryskie domy — wyjaśnił Hieronim, zniżając głos.

— Ależ dlaczego?

— Mój kochany, ty nic nie rozumiesz... Pamiętasz, jak mnie pytałeś, dlaczego sprzedaję domy w Wiedniu?

— Tak, ale...

— Żadne ale. Jeśli ci się zdaje, że ten twój Paryż to coś pewnego, to bardzo się mylisz. Cały ten kontynent nie wart dziś funta kłaków. Zobaczysz, co się tu jeszcze będzie działo.

— Jeśli tak, to pocóż tracić czas na ratowanie czegokolwiek, sprzedawać domy, lokować pieniądze?...

— A co ty sobie myślisz, że to już będzie koniec świata? Gdybym tak myślał w 1914, to ładnie byśmy teraz wyglądali.

— Więc stryj myśli, że będzie wojna?

— Dobre sobie. Czy myślę. Jestem tego pewien. Wiesz... — zastanowił się chwilę— wybuchnie na wiosnę przyszłego roku, teraz jeszcze sytuacja nie jest dość jasna, kto z kim, przeciwko komu. Pieniądze lokuję w każdym razie w Londynie. Co do ciebie, to ojciec prosi, żebyś wrócił teraz do kraju, na kilka tygodni. Jeśli zechcesz, możesz pojechać ze mną razem. No, idę, bo mam mnóstwo spraw do załatwienia. Przyjdź po mnie w południe, mieszkam w „Meurice", na Rivoli. Zjemy razem śniadanie.

I Hieronim młodzieńczo podniósł się z fotela. Po chwili słyszałem jak schodził raźno ze schodów. Przypomniałem sobie scenę ataku sercowego, jaka rozegrała się w muzeum historii naturalnej w Wiedniu, w pustej sali przed rekonstrukcją mamuta. Uśmiechnąłem się, myśląc, o sile tej ginącej, hanzeatyckiej rasy, którą reprezentował jeszcze Hieronim, mimo wszystkich ciosów, jakie od ćwierćwiecza na nią spadały.

Gdy wstałem, była już dziesiąta. Z namysłem wykonywałem czynności porannej toalety. Miałem uczucie, że wszystkie te czynności — od mydlenia twarzy aż do zawiązywania krawata — wykonuję po raz ostatni. Zastanawiałem się nad trafnością prognozy wojennej i schwytałem się, jak na gorącym uczynku, na tym, że moja dotychczasowa myśl o klęsce nie oblekała się jeszcze nigdy w tak wyraźne kształty jak teraz. Widocznie zbliżyliśmy się tak do klęski, że można już było ją dokładnie określić. Nie będzie apokaliptycznego końca świata, poprostu wojna. Zamiast świętego Jana prorokuje ją trzeźwy Hieronim. Ale Hieronim jeszcze potrafi jej stawić czoło. Stara się ratować to, co da się uratować. Hieronim walczy. A ja? Włóczę się po Paryżu i oczekuję zmiłowania. Biadam, czekam i myślę o końcu świata. A końca świata wcale nie będzie. Może to tylko zginie w nas jakaś część naszego zbyt zdrowego rozsądku, która każe nam mówić, poziewując: a... a... a..., co za nuda! Kiedy już będzie koniec świata?

Minąłem Sekwanę, dziedziniec Luwru i dotarłem do ulicy Rivoli w tym miejscu, gdzie styka się ona z szeroką ulicą wiodącą ku Operze. Ruszyłem teraz w lewo. Było w pół do dwunastej. Miałem przed sobą pół godziny. Postanowiłem przejść się i obejrzeć wystawy. Uwagę moją przyciągnęły witryny wielkich magazynów mody męskiej: Sulka, Washington Tremlett, Hilditch and Key—solidne, angielskie sklepy w których można było jeszcze przed końcem świata nabyć miękki wielbłądzi szlafrok lub skórzane ranne pantofle w wysokim gatunku. Doszedłem do placu Zgody. Wróciłem raz jeszcze. I znowu, jak stacje podmiejskie te same pojawiające się i niknące skolei szyldy: Hilditch and Key, Washington Tremlett, Sulka. I znowu, tylko w odwrotnym porządku. Jak Syzyf toczyłem pod lekką kolumnadą ulicy Rivoli ciężki kamień świadomości. A może nie będzie końca świata? Sulka, Washington Tremlett, Hilditch and Key... Było południe.

Hieronim oczekiwał mnie przed hotelem. Był wyświeżony, w jasnym ubraniu, wąsy miał starannie i dyskretnie podczernione. W dłoni kręcił kościaną gałkę swojej nieodłącznej laski.

— No, całą sprawę załatwię w ciągu kilku dni. Chcę tu zostać najwyżej tydzień a potem wracam przez Belgię do domu. Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną.

— Wolałbym tu zostać. Mam trochę pracy...

— Nie kłam — uśmiechnął się Hieronim — nic nie robisz. Mój Adamie, czas już żebyś rzucił te głupstwa i zajął się wreszcie czymś poważnym. Możesz pracować u mnie, mówiłem ci to nieraz.

Wchodziliśmy do hotelowej restauracji. Panował tu półmrok, stały wysokie, zakurzone palmy. Hotel był pierwszorzędny, a zaniedbanie i staroświeczczyzna były celową kokieterią, która tak bardzo irytuje nowobogackich, a tak wielki posiada urok w oczach ludzi statecznych i solidnych.

— Ależ stryju, na miłość Boską, przecież dopiero przed kilkoma godzinami twierdził stryj, że będzie wojna.

— No i cóż z tego? Mój Adamie, czas żebyś wiedział, że fabryki pracują właśnie w czasie wojny.

— No, a jeśli...

— Jeśli co? Nasze fabryki przejął kapitał włoski, jeżeli nawet coś takiego się zdarzy, to i tak będziemy mogli produkować. A jak było podczas zeszłej wojny. Byli Rosjanie, potem Niemcy, a fabryka szła.

Hieronim zamawiał teraz starannie potrawy i wino. Czynił to z uwagą, z widoczną przyjemnością, a co najważniejsze, z wprawa.

— Nie mogę zrozumieć — ciągnął Hieronim po odejściu kelnera — jak się to stało, że wy jesteście zupełnie inni niż my. Ty... — zamyślił się i przypatrywał mi się uważnie — no tak, to podobieństwo do matki. Ona nigdy nie była praktyczna. Wiesz, jak zawsze o mnie mówi: „ten fabrykant". No, pewnie, a gdyby tak nie było „tego fabrykanta"? Gdyby tak nie było? — zapytał mnie natarczywie. Nie odpowiedziałem.

— Może to zresztą wcale nie wasza wina... — ciągnął Hieronim, schylony nad kartą win. — Taki teraz świat. Dawniej wszystko było normalne — i wojny i pokój — fabryki należały do rodzin, do ludzi — a dziś? Societé anonyme — uśmiechnął się gorzko. — Dawniej wszyscy wierzyli, że przemysł to postęp, że maszyna pomaga ludziom. Przemysł był ludzki. Znałeś siły, jakie nim poruszały, panowałeś nad nim sam, osobiście. Dziś to wszystko zostało włączone w jakiś piekielny system. Nie wiadomo, czy fabryka, która produkuje garnki, nie będzie jutro wyrabiała bomb. Ale czy można się z tego wszystkiego wykręcić? Nie można — roześmiał się i nałożył sobie na talerz tłustą, srebrną sardynkę. Jedliśmy w milczeniu.

W ciągu swojego kilkunastodniowego pobytu Hieronim nie zabrał mi zbyt wiele czasu. Raz tylko zmusił mnie, bym poszedł z nim do Maxima, ale przez cały wieczór siedział zgorzkniały i opowiadał, że dawniej to wszystko miało więcej uroku. Poza tym załatwiał swoje sprawy, zapewne korzystnie, jak to mogłem wnosić z jego zadowolonej w ciągu dnia miny.

Mimo niechęci, postanowiłem jednak powrócić do kraju wraz z Hieronimem. Lato tego roku było w Paryżu upalne i kilkutygodniowy pobyt w kraju nabrał z przyczyn klimatycznych perspektyw pociągających. Do tego mieliśmy jechać przez Belgię, której nie znałem i zatrzymać się na kilka dni w Brukseli, gdzie spodziewałem się obejrzeć trochę ciekawych obrazów. Był koniec lipca. Zdecydowałem się na wyjazd.

Zajechałem po Hieronima na pół godziny przed odejściem pociągu. Stryj stał przed lożą portiera i płacił rachunek. Na mój widok skinął z zadowoleniem głową. Pomogłem mu nieść płaską walizkę i pled. Ruszyliśmy powoli, mijając kolejno szyldy ulicy Rivoli: Sulka, Washington Tremlett, Hilditch and Key. Myślałem wtedy, że za kilka tygodni będę znów odczytywał tę litanię od końca.

Roztargnienie szofera zawiodło nas na inny niż należało dworzec. Byliśmy pewni, że jesteśmy na dworcu właściwym. Gdy pomyłka się wyjaśniła, Hieronim spojrzał na złoty zegarek zawieszony na dewizce i oświadczył, że na dalekobieżny jesteśmy już spóźnieni. Podeszliśmy do informatora, by dowiedzieć się o jakikolwiek inny pociąg który by szedł z tego dworca w kierunku belgijskiej granicy. Istotnie, za parę minut odchodził pośpieszny, a od granicy w godzinę po nadejściu naszego pociągu szedł inny do Brukseli. Obaj byliśmy zmęczeni, Hieronim czuł się źle, chwytał się za serce, udając, że sprawdza godzinę. Wreszcie pociąg ruszył.

Noc dopiero zapadała na dobre, późna lipcowa noc. Zasnąłem w otwartym oknie, ale chłodny pęd powietrza dwukrotnie mnie zbudził, to też musiałem wreszcie zamknąć okno. W chwili, gdy półsenny wykonywałem tę skomplikowaną dla przebudzonego czynność, dobiegł mnie jęk Hieronima. Zapaliłem zapalniczkę. Stary pan spał spokojnie wydymając wargi, jakby chciał coś zagwizdać. Pociąg szedł miarowo. Oparłem się o miękką, rozgrzaną poręcz i pomyślałem nagle, że jadę w złym kierunku, w stronę klęski, od której przecież starałem się uciec. Przesiadłem się więc na przeciwległą ławkę, twarzą ku zachodowi od którego lekkomyślnie się oddalałem. Ale przytomniejąc, zrozumiałem po chwili, że bez względu na to, czy usadowię się twarzą ku wschodowi, czy ku zachodowi, pociąg nie zmieni swego monotonnego, niezbyt szybkiego biegu. Godząc się cierpliwie z tym nieodwołalnym stanem rzeczy, w poczuciu, że nic już ode mnie nie zależy, jechałem teraz wzdłuż prowincjonalnej, bocznej linii kolejowej w stronę własnego przeznaczenia. Obok pojękiwał z cicha przez sen Hieronim. Zasnąłem.

Gdy się zbudziłem pociąg stał. Poprzez zamknięte okno dobiegał mnie znajomy komplet dźwięków, tak charakterystyczny dla niewielkich dworców kolejowych: gwizd parowozów, manewrujących na sąsiednim torze, nawoływania tragarzy i ostukiwanie szyn. Hieronmi już też nie spał. Słyszałem jak w ciemnościach otwierał walizkę, jak zabulgotał jakiś płyn we flaszce— poczułem ostry zapach kolońskiej wody i pomyślałem, że Hieronim znowu źle się czuje.

Ale on zapytał mnie naturalnym głosem:

— Co to za stacja Adamie?

Nie odpowiedziałem. Otworzyłem okno. Widziałem przed sobą słabe światła stacyjnego budynku. Dworzec był niewielki. Na pobliskim słupie, podtrzymującym szklany dach dworcowej hali, wisiał zdarty afisz zeszłorocznej mobilizacji. Nagle w ciemnościach ktoś zagwizdał parę taktów z „Orfeusza". Po chwili usłyszałem dalszy ciąg melodii tu nad moim uchem. To Hieronim podchwycił dawną, dobrą, starą melodię. Wychyliłem się z okna i dopiero teraz ujrzałem nazwę stacji:

— To Sedan, stryju Hieronimie! — powiedziałem cicho.

Koniec

Krew z czoła twojego ścieram.
Świecę zapalam.
Lament czas zacząć.
Pieśń moja była także biała,
lecz teraz tobą skrwawiona.
Infantko,
umierasz.
Przytul poetę do łona.
Ciała niebieskie płaczą.
Księżyc płacze.
Włosy Bereniki.
I Miecz Oriona.
I Droga Mleczna.

Pavanę
śmiertelną
śpiewam tobie,
ciało ukochane.

Panno wieczna.

Światło ci sypie się z dłoni,
pył jarząco biały.

Nieodgadłe piskle mojego marzenia.
Wstępująca
w niebo gwieździste Aragonii,
w świat chwały.

TERAZ O WOJNIE:

Czy na darmo była ta wojna?
Może jeszcze będziemy tam bić się.
Ale ty bądź spokojna. Bądź spokojna.
Po to istnieje śmierć, aby kwitło życie.
Ci, którzy umarli, idą z nami:
Lina Odena,
Hans Beimler,
Buonaventura Durutti.
Wszyscy za nami! Wszyscy za nami!
Cześć i dynamit!
Trzeba dotrzymać słowa, taki był plan.
Infantko, w palcach masz kwiat.
Ten kwiat: no pasaran.

A tam
nad strefą bomb i samolotów,
nad stratosferą,
gdzie schodzą się duchy zabitych
z krwi wyczyszczone i wolne,
ktoś je rachuje, ktoś je liczy.
Infantko gniewna i dzika!
Infantko fanatyczna!
Śmierć twoje oczy zamyka,
tłumi śpiew cierpki i wojowniczy.

Atencion! Atencion!
Proszę o ciszę.
Ja piszę
każdy zgon.
Ja słyszę
ten płacz.
Poeto,
patrz:
twoja Infantka miła
gwiazdą wniebowstąpiła.

AKT STRZELISTY:

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
że za ciebie giną, że za ciebie giną
chłopcy malowani!

Ku Infantce strumień krwi się wzbił i popłynął.

Módlmy się o wolność dla Hiszpanii!

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

UWAGI O POLSKIEJ SCENOGRAFJI

Okres międzywojenny był w historii plastyki scenicznej epoką obfitującą w doświadczenia. Polska scenografia nie tylko przyswoiła sobie w tym czasie wiele wzorów zagranicznych, ale zdobyła się na wypracowanie własnego stylu, wykorzystując rezultaty obcych eksperymentów, i dostosowując je do potrzeb technicznych aktualnej reżyserii teatralnej. Jednym z osiągnięć tego okresu był styl tzw. „neorealizmu", którego zasady ustalone zostały w latach 1930—32 przez dwóch współpracujących ściśle artystów: Leona Schillera w zakresie reżyserii teatralnej, i Władysława Daszewskiego, jako plastyka scenicznego (por. M. Sterling, „Inscenizacje plastyczne Władysława Daszewskiego", „Arkady" 1937 i T. Terlecki, „Tendencje formalne współczesnego teatru polskiego", „Życie sztuki" R. I).

Już fakt współpracy reżysera i dekoratora był symptomatyczny; zapowiadał niewzruszoną zasadę nowego stylu: plastyka sceniczna służyła ściśle teatrowi, a charakter jej wynikał z dokładnej analizy treści sztuki, co popularnie wyrażało rzucone przez Schillera w PIST *) hasło: „budować na planie treści!" Ustalenie tej zasady położyło kres rozwichrzonym eksperymentom formistów, którym dramat służył za pretekst dla gry temperamentu plastycznego. Grzechy takie mieli na sumieniu nie tylko ekspresjoniści; świetny dekorator, Wincenty Drabik, potrafił przynieść projekt w ostatniej chwili przed premierą, nie fatygując się by z nim zapoznać reżysera; ten pełen pasji artysta dyktował styl teatrowi, — był to okres władztwa pędzla na scenie. (por. L. Schiller, „W. Drabik, artysta teatru"). Podobne przerosty są nie do pomyślenia w nowoczesnej inscenizacji, wynikającej z treści utworu, ustalonej w bezwzględnie ścisłej współpracy reżysera z plastykiem. Zasady „neorealizmu" mogły się wydawać suche, hamujące wyobraźnię artysty. Przestrzeń sceniczna miała być zabudowana zgodnie z postulatami reżyserii, co zmuszało plastyka do rezygnacji z wielu pokus malarskich. Scena ma być przede wszystkim u ż y t e c z n a dla rozgrywającego się dramatu; dekoracja nie przesłania widzowi sztuki, nie odciąga jego wyobraźni od sensu samego utworu, nie usiłuje go zachwycać bogactwami kolorystycznymi i plastycznymi, roztaczanymi na marginesie głównego celu przedstawienia, — oto pierwsza zasada. Eliminacja wszelkiej zbędnej stylizacji, raczej uproszczenie przedmiotów, niż rozbudowanie, i wierne reprodukowanie ich na scenie, a nie deformowanie w celu wydobywania nastroju, czy patetycznego wyrazu. Nowy styl komponował z elementów realistycznych; autentyczne, dokumentalnie przeniesione przedmioty ustawiał celowo, wyprowadzając je z koncepcji reżyserskiej. Miał oczywiście właściwe sobie chwyty; raczej zabudowywał scenę, niż malował; znowu wrócił na deski teatralne architekt, modelator, rzemieślnik, pędzel przestał być berłem. Innym charakterystycznym środkiem jest „fakturowanie", t. j. akcentowanie właściwości materiału, z którego wykonane są przedmioty, np. ukazywanie chropawej, nieozdobionej powierzchni murów, drzew, fragmentów architektonicznych, wyraziste przeciwstawianie części metalowych i drewnianych itd. Zniknęły konwencjonalne „kulisy", prymitywny zabytek starej techniki dekoracyjnej.

A przecież narzuciwszy sobie ścisłe ramy współpracy z teatrem, krępując się dobrowolnie, zdołał ów styl ugruntować swoje panowanie na długie lata, stając się najbardziej rzeczowym i dając dzieła o nowym uroku, pełne inwencji i dowcipu. „Zwycięstwo" Conrada w przeróbce i reżyserii Schillera, „Dorota Angermann" Hauptmanna (reż. L. Schiller), to pierwsze dekoracje „neo-realistyczne" Daszewskiego, obydwie wystawione we Lwowie w r. 1930. Pamiętamy inne prace tego artysty, znaczące rozwój nowego stylu: „Major Barbara" w Ateneum, w 1932 r., „Zbrodnia i kara" (w dramatyzacji i reżyserii Schillera), „Klub Pickwicka" w Teatrze Polskim w Warszawie, „Zemstę" we Lwowie, i wiele innych. W Studium Scenograficznym w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie Daszewski wykształcił młode pokolenie dekoratorów, czego nie udało się dokonać ani Drabikowi, ani Fryczowi. Cechował to pokolenie wstręt do wszelkiej secesji, pikturalności, „malowniczości". Znało ono język, którym porozumiewają się artyści sceny, reżyserzy i aktorzy. Wpływ tej szkoły oddziałał również na malarzy, którzy z nią osobiście nie byli związani; plastyczny język „neorealizmu" stał się elementem wykształcenia nowoczesnego scenografa, a osiągnięcia jego przyswoili sobie wszyscy niemal współcześni działający, młodzi artyści, zarówno wychowankowie Daszewskiego, jak i ci, którzy bezpośrednimi jego uczniami nie byli: Teresa Roszkowska, Jan Kosiński, S. Cegielski, ś. p. Wacław Ujejski, Golus, Zenobiusz Strzelecki.

*) Wydział Sztuki reżyserskiej, którego Schiller był kierownikiem w Państw. Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie 1932—39.

BAJKI LUCYNY KRZEMIENIECKIEJ

O młynarzu Sylwestrze. Czytelnik, 1946. Czarodziejski światek. Księgarnia Naukowa. Łódź, 1947. Historia cała o niebieskich migdałach. Wiedza. O Jasiu Kapeluszniku. Łódzki Instytut Wydawniczy. 1947. Bajeczka z podwóreczka. Spółdzielnia Światowid. 1946. Baśń o trzech braciszkach. Księgarnia Polska. Łódź. 1947.

Z jakich motywów złożony jest obraz życia w książkach Lucyny Krzemienieckiej? — Z motywów społecznych. Jest to odpowiedź, która stwierdza niewątpliwie pozytywną funkcję tych książek nie tylko zabawową, ale wychowawczą.

Ludzie w bajkach i powiastkach Krzemienieckiej są określeni jako istoty społeczne — spełniają prace wyznaczone zawodom, ich kontakty z innymi pozostają w sferze interesu, współżycia sąsiedzkiego lub czynnego altruizmu. Krzemieniecka wyprowadza dziecko z dziecinnego pokoju, do którego najczęściej ogranicza się jeszcze fabuła dziecinnej literatury — pokazuje im bliski, zewsząd działający świat ludzkiej pracy i przeżyć. „Bajeczka z podwóreczka" przedstawia los dziecka na tle grupy dziecinnej w obrębie miejskiego podwórka. Dziecko nie jest samotne. Żyje społecznie i próbuje w prostych rysach odróżniać i charakteryzować swoich towarzyszy. Nie są to dzieci jakiekolwiek, są to indywidualności w aspekcie dziecinnym i pogodnym:

„A koło tych krzaków pełno się bawiło dzieciaków. Elizka mała, co się o byle co obrażała i Stach rozczochrany jak na wróble strach i Maryna, co jej się wciąż buciczek odpinał i Józio z piegowatą buzią i Florek czerwony jak pomidorek i Kamilka sierotka, którą wychowywała ciotka".

Przy tym bohaterami bajek Krzemienieckiej są dzieci lub dorośli przeważnie z warstwy chłopskiej i drobnomieszczańskiej. Niedostatek materialny, bieda wprowadzona w wątek literatury dziecinnej łączy się z postawą moralizującą, z atmosferą altruizmu, dobroci i litości. **Treścią książek Lucyny Krzemienieckiej są szlachetne stany uczuciowe, uprawia ona propagandę dobrego serca.** Tom bajek i powiastek jest przeważnie pogodny, pełen rzewnego humoru i czułości wyrażającej się może zbyt często w zdrobnieniach: „Buzię ma bledziuchną"...

Moralizatorstwo autorki nie narzuca się natrętnie, jest przeważnie reakcją na konkretną sytuację. Wyjątkowo Teofilek z książeczki „O młynarzu Sylwestrze" otrzymuje od burmistrza wątpliwą, bo zbyt ogólnikową naukę: „najważniejsze: być P o l a k i e m"

Wątki bajeczne, fantastyczne są przez Krzemieniecką użyte jako uzupełnienie świata realnego niby przez zabawę, przez akcję „na niby". Jej motywy bajeczne dają się łatwo przełożyć na zjawiska zwykłe, nie posiadają baśniowej autonomii. Są małą poprawką wniesioną do rzeczywistości, poprawką, na którą umysł dziecka chętnie przystaje, gdyż nie zakłóca ona znanego dziecku obrazu świata — wzbogaca go i ozdabia.

Tak ujęte motywy baśniowe: worek z pięknymi słowami, kura nosząca złote jajka, ptak rozmawiający z człowiekiem — są raczej dowcipami literackimi zastosowanymi w świadomości ich konwencji.

I w elementach realistycznych tkwią jednak konwencje, które choć muszą być przyjęte dziś jeszcze, powinny w przyszłości ustąpić miejsca bardziej nowoczesnym ujęciom świata społecznego. Postać dziecka-biedaka, potrzebującego wsparcia, proszącego ma jeszcze coś z tzw. sieroty z powiastek moralizujących dla dzieci z pałaców. Tu zmienił się czytelnik — czytelnikiem książek Krzemienieckiej ma być zasadniczo dziecko z rodziny inteligenckiej czy rzemieślniczej, z rodziny, w której odczuwa się jeszcze nędzę w sąsiedztwie, lecz już można pomyśleć o przyjściu jej z pomocą. Dar jest tu ujęty jako czyn społecznie pozytywny — i będzie to chyba długo jeszcze aktualne, choć nie zmieni charakteru jałmużny, półśrodka w mieszczańskiej etyce społecznej.

Lucyna Krzemieniecka

Również do zakresu pozytywnej mieszczańskiej oceny należy motyw dorabiania się, bogacenia rzemieślnika dzięki osobistym kwalifikacjom etycznym. Tak kończy się miła bajka „O Jasiu Kapeluszniku":

„Wkrótce się nam, majsterku,
Czterech sklepów doczekasz
Majsterkowi się wiedzie
Coraz lepiej i lepiej.
Grzesia wziął już do siebie,
By pomagał mu w sklepie".

„Bajka o Jasiu Kapeluszniku" zręcznie skomponowana kończy się akcentem lirycznym charakterystycznym dla Krzemienieckiej. Powiastki jej są często dydaktyczne właśnie w sferze wrażliwości na nastrój, liryzm.

„Na tym bajka się kończy,
Deszcz za oknem też zamilkł,
Tylko wicher jesienny szarpie wciąż
akacjami".

Wydawnictwa bajek Grimma i Andersena były okazją do porównania baśni ludowej i literackiej. Baśń literacka posiadająca więcej miejsca dla treści moralnej czy poetyckiej — koniecznie potrzebuje wsparcia w postaci jakiegoś schematu baśni ludowej. Bez tego grozi jej nadmiar alegorii i sentymentalizm.

Bajki Krzemienieckiej, czy też lepiej, jej baśniowe powiastki są zbudowane na schemacie, przeważnie na schemacie powtórzenia. „O młynarzu Sylwestrze" i wszystkie kolejno bajki z książeczki pod tym tytułem operują właśnie refrenem zdarzeń, powracaniem podobnych sytuacyj. Z pewnością wpływa to dodatnie na percepcję utworów literackich przez dzieci, a jednocześnie pozwala autorce przedstawić dziecku świat uporządkowany przy pomocy najprostszej zasady porządkującej — szeregowania.

Najlepsze są te bajki, w których najwyraźniej występuje ten schemat kompozycyjny: „O młynarzu Sylwestrze". „Kto sieje lasy pożyteczny w długie czasy" — ciekawa jako ilustracja staropolskiego przysłowia.

Typ bajki o losach przedmiotu martwego reprezentuje powiastka o jajku wielkanocnym. Dowcip literacki polega tu na tym, że choć dzieje chłopca, który dostał drewniane jajko malowane w gwiazdy i został potem astronomem, są najważniejsze — to jednak zajmuje uwagę przede wszystkim historia jajka aż do chwili, gdy potoczyło się gdzieś w leśną trawę i zostało tam na zawsze.

Walory literackie łączą się w utworach Krzemienieckiej z prawdziwą dostępnością dla umysłów dzieci.

Dobre jest wplatanie rymów w prozę. Odpowiada to upodobaniu dziecka do mechanicznego podobieństwa brzmień, a jednocześnie separuje rym od wiersza i samej poezji.

Lektura książek Lucyny Krzemienieckiej pobudza do rozważania problemu literatury dziecięcej. Stanowi ambitny przykład połączenia aktualnego, społecznego realizmu z fantastyką ludową przyswojoną na użytek dzieci.

Anna Kamieńska

JAK ZAPRENUMEROWAĆ
»Kuźnicę«
Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII. - 567 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny.
PRENUMERATA
łącznie z przesyłką wynosi:
miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

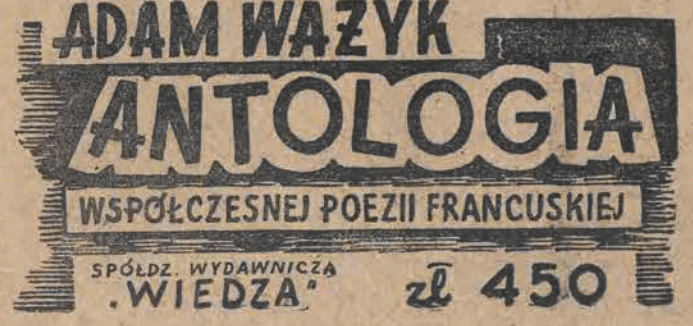

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Książka dla młodzieży stanowi poważną pozycję na rynku wydawniczym tak ze względu na masowe jej zapotrzebowanie, jak i konieczność spopularyzowania zagadnień ze wszystkich dziedzin wiedzy dla żądnych drukowanego słowa młodych umysłów. Największe nawet nasilenie czytelnictwa wśród dorosłych nie da się porównać z czytelnictwem młodzieży, której niesłychaną zdolność absorbowania książki stwierdzają statystyki bibliotek, czytelń i wychowawców.

Dlatego też wydawnictwa kładą słuszny nacisk na tempo w wypuszczaniu jak największej ilości literatury dla młodzieży. Książek przybywa z dnia na dzień, a jako dodatni czynnik należy podkreślić, że większe spółdzielnie wydawnicze zwracają baczną uwagę nie tylko na poziom literacki utworu, ale również na jego szatę graficzną.

Stosunkowo dużą liczbę książek, które zapełniają obecnie półki księgarskie, stanowią utwory wznowione. Ta pieczołowitość firm wydawniczych, aby wydobyć znów na światło dzienne książki wartościowe, jest bezwzględnie godna pochwały, gdyż brak ich stanowiłby poważną lukę w całokształcie zagadnień, jakie młodzież poznawać i zrozumieć powinna. Do takich książek należą bezsprzecznie utwory Haliny Górskiej, Janusza Korczaka, Wandy Wasilewskiej i wiele innych. Nie mniej jednak każdą nową książkę, która wnosi do literatury dla młodzieży nową tematykę, związaną ze współczesnością, należy powitać jak najżyczliwiej.

Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że pisarz w równej mierze współdziała w wychowaniu dzieci i młodzieży co pedagog. I dlatego na pisarzu ciąży ogromna odpowiedzialność. Nowe pokolenie będzie na tyle pozytywną cząstką społeczeństwa, na ile pisarz i nauczyciel potrafią je społecznie, etycznie i kulturalnie urobić.

Z książek o głębszym społecznym zabarwieniu na plan pierwszy wysuwają się trzy niewielkie tomiki Haliny Górskiej. Oczywiście są to wznowienia, ale problemy poruszane w nich nie straciły nic ze swej aktualności, a więc w powieści p. t. „Chłopcy z ulic miasta" (Nakł. Spółdzielni Wyd. „Książka" 1946 r.) autorka prowadzi czytelnika wraz z gromadą bezdomnych i wykolejonych dzieci ulicy ku poznaniu i zrozumieniu prawd społecznych, których ukoronowaniem niejako staje się idea braterstwa ludów.

W powieści p. t. „Nad czarną wodą" rozwija problem człowieczeństwa, dążenia do nowego „Jutra ziemi". Ci sami chłopcy, przytłoczeni nędzą i niesprawiedliwością społeczną, ogłaszają krucjatę przeciw złu, ciemnocie, krzywdzie, kłamstwu i obłudzie, zakładając „Zakon Błękitnych Rycerzy".

A wreszcie książka p. t. „Druga brama" walczy z fałszywym solidaryzmem i ze sztucznym radykalizmem, które stały się tak modne w dobie przedwojennej.

Dziś, kiedy granice między t. zw. „dziećmi z dobrych domów" a „dziećmi ulicy" zatarły się szczęśliwie, powieść ta może się wydawać trochę przestarzałą, ale jako dokument czasów sanacyjnych, ma wartość historyczną i psychologiczną na dziesiątki lat. Wszystkie utwory Haliny Górskiej mają tę niezwykłą prostotę wysłowienia, jaką cechuje wybitnych pisarzy: głębokość myśli nic nie ujmuje jasności opowiadania, a szczerość i umiar wypowiedzi wzrusza bardziej niż sztuczny patos.

Niemniej interesującym dokumentem historycznym jest powieść Jana Brzozy p. t. „Dzieci" — Nakł. Wyd. „Mewa" w Katowicach 1946 r. Zaznaczyć należy, że książkę tę można traktować tylko jako lekturę dla młodzieży powyżej 16 lat ze względu na drastyczne epizody z życia dzieci proletariackich. Głęboki pesymizm przenika cały utwór, pesymizm, którego podłoże tkwiło w niesprawiedliwości społecznej i nędzie owoczesnych czasów przedwojennych. Jakkolwiek jest to powieść wysoce humanitarna, o dużej wartości artystycznej, sądzę, że wywierać ona może wpływ destrukcyjny na młodego czytelnika. Natomiast dorośli powinni ją poznać.

Zupełnie inny wydźwięk posiada książka Wandy Wasilewskiej p. t. „Pokój na poddaszu" — Nakł. Spółdz. Wyd. „Czytelnik" 1946 roku. Jest to powieść z życia osieroconej gromadki dzieci, którym pomoc środowiska robotniczego pozwala przetrwać ciężkie warunki bytu i zdobyć minimum wykształcenia fachowego. Wiara w człowieka, a przede wszystkim wiara w solidarność klasy robotniczej przenika cały utwór. Żywy tok opowiadania, różnorodność typów ludzkich, a wreszcie interesująco skreślone sylwetki drugoplanowych postaci składają się na lekturę, którą przeczytają tak samo chętnie dzieci jak i młodzież.

Wszystkie powieści omawiane powyżej nie są nowe. Powstały one przed wojną i są niejako obarczone społeczną problematyką przedwojenną. Jedyną książką nową, która w tej chwili dotarła do mnie, wprowadzającą zagadnienia współczesne do literatury dla młodzieży jest opowiadanie Marii Kuryluk p. t. „Jędrek i Piotr" (Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1946 r. w serii „Polska i Świat Współczesny"). Utwór ten formalnie jest raczej szeregiem szkiców z życia bezdomnych dzieci uwolnionych z Oświęcimia. Więzią, która szkice te łączy w jedną całość, jest przyjaźń dwóch chłopców i pomoc moralna i materialna szkoły i środowiska robotniczego. Szlachetna tendencja, głęboki humanitaryzm i rzetelny wysiłek autorski, aby obudzić czujność na niedolę upośledzonych rówieśników, rekompensują oszczędność środków artystycznych w utworze.

W tej samej serii ukazały się jeszcze dwie książki zupełnie odrębnego typu: „Na Atlantyku" St. Strumpha Wojtkiewicza i „Niebieski Krzyż" Wawrzyńca Żuławskiego.

Książka St. Strumpha - Wojtkiewicza zawiera dwa reportaże z dziejów polskiej marynarki wojennej. Pierwszy p. t. „Spotkanie Pioruna z Bismarkiem" opowiada o zwycięskiej walce małego polskiego okrętu z największym pancernikiem świata. Jest to reportaż bardzo fachowy, podający w cyfrach pojemność okrętów, ich uzbrojenie, moc maszyn i szybkość. Nadto zaznajamia młodzież z rolą, jaką odegrały podczas ostatniej wojny nieliczne okręty i samoloty polskie, wydatnie pomagając marynarce angielskiej w zniszczeniu floty niemieckiej.

Drugi reportaż p. t. „Na okręcie podwodnym Sokół", jakkolwiek również fachowo objaśnia budowę i zadania okrętu podwodnego, jest ujęty w formę beletrystyczną. Przeżycia marynarzy, wzajemny stosunek władz okrętowych i podwładnej im załogi, niefrasobliwy humor i bohaterska brawura — wszystko to ożywia opowiadanie i sprawia, że książkę czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem.

Trzecią z serii „Polska i świat współczesny" książką jest „Niebieski Krzyż" Wawrzyńca Żuławskiego. Jest to cykl opowiadań z dziejów ratownictwa w Tatrach. Już sam temat przykuwa uwagę młodego czytelnika, a żywy tok narracji, plastyczne widzenie gór i emocjonalny stosunek autora do opowiedzianych epizodów z ekspedycji ratowniczych tym bardziej zachęca do czytania i budzi zamiłowanie do sportu wysokogórskiego.

Zupełnie inny rodzaj książek stanowią dwie powieści dla dorastających dziewcząt: „Szkoła narzeczonych" Marii Krüger, (Nakł. E. Kuthana w Warszawie) i „Poczwarki Wielkiej Parady" H. Auderskiej, (Nakł. Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa). Jakkolwiek utwory te wyszły z druku w ostatnich czasach, tematyka ich wyraźnie wskazuje na kalendarz przedwojenny. I to może przynajmniej częściowo usprawiedliwiać ckliwy sentymentalizm i mętną ideologię społeczną, zawieszoną w próżni i nieopartą o żadne realne podstawy w książce H. Auderskiej. Natomiast nawet „łagodząca okoliczność" przedwojennego klimatu nie może zupełnie na absolutny nonsens w wydawaniu książek w rodzaju „Szkoły narzeczonych". Nie można wprawdzie odmówić tej powieści pewnych walorów formalnych. Jest napisana ze swadą, dowcipem, płynny i żywy język pozwala pierwsze rozdziały książki Marii Krüger czytać z pewnym zainteresowaniem. Ale płytka tendencja, zakreślająca ideał życia młodej dziewczyny między kuchnią, mężem i dzieckiem, to nawet jak na utwór przedwojenny nieco trąci myszką.

Czy istotnie trzeba pisać wzorem angielskich „Ani z Zielonego Wzgórza" tendencyjne powieści „dla panienek"? Czyżby naprawdę ktoś z ludzi piszących wierzył, iż taka książka może mieć rację bytu w czasach, kiedy kobieta na równi z mężczyzną pracuje we wszystkich zawodach, walczy na froncie i bierze udział w życiu politycznym i społecznym?

A może lepiej by było, jeżeli już chcemy obecnej młodzieży pokazać sylwetki dziewcząt z minionej epoki, sięgnąć do Orzeszkowej czy Prusa? Bo nawet te dawne, tak bardzo odległe dla nas czasowo utwory posiadają mocny kościec społeczny, którego brak tak bardzo daje się odczuwać w obu omawianych powyżej utworach. Według mego mniemania książka dla dziewcząt jest dziś anachronizmem. Przestańmy wreszcie układać w oddzielnych szufladkach „tematy falbankowe" i „tematy hasające na drewnianym koniku i brzękające szabelką".

Literatura dla młodzieży musi być „koedukacyjna", tak jak szkoła, uniwersytet i życie.

Wanda Grodzieńska.

STUDIUM O PRUSIE*)

Janina Kulczycka-Saloni we wstępie do swej książki o Bolesławie Prusie[1]) wyraźnie stwierdza, że praca jej przeznaczona została dla starszej młodzieży szkolnej i że „daje raczej zestawienie wyników badań nad autorem i epoką, niż jej własne w tej dziedzinie osiągnięcia". To wyraźne sprecyzowanie charakteru monografii i skłonność autorki pozwalają na ocenę książki właśnie tylko jako pracy ściśle użytkowej. Janina Kulczycka-Saloni przyjęła zupełnie świadomie zasadę chronologicznego układu książki. Rozdział pierwszy poświęciła popularnemu omówieniu epoki, drugi — charakterystyce Prusa jako człowieka — ostatni próbie syntetycznej charakterystyki twórczości pisarza. Pozostałe rozdziały omawiają w surowo przestrzeganej kolejności lat i miesięcy działalność literacką autora „Lalki". W tych ramach autorka rozpatruje najpierw nowele, opowiadania i szkice powieściowe, potem wszystkie większe powieści, każdej poświęcając jeden rozdział, wreszcie znowu fragmenty i nowele z ostatniego okresu działalności literackiej Prusa. Zasada takiego postępowania jest niewątpliwie zasadą tradycyjną, której uwarunkowaniem i celem jest systematyczne uporządkowanie wiadomości w głowie ucznia. Uporządkowanie takie pozwala na skojarzenie każdego poszczególnego roku z utworami różnych autorów i na zorientowanie się w etapach rozwoju twórczości danego pisarza. To są zalety tej metody. Ma ona jednak i wady, które ostro wystąpiły właśnie w tym wypadku, gdy chodzi o tak bogatą i różnorodną działalność pisarską. Kolejne omawianie wielkiej ilości szkiców nowel i opowiadań jest nie tylko nużące ale i mało pożyteczne, gdyż zamiast ustalać pewne charakterystyczne właściwości treściowe i formalne danych rodzajów prowadzi najczęściej do strzeszczania. Trudno zaś przypuszczać, aby strzeszczenie było właściwszym surogatem poznania utworu, niż np. „bryk" samodzielnego tłumaczenia. Dlatego rozdziały omawiające drobne utwory Prusa są z całej książki najsłabsze i dając wprawdzie pewne informacje, nie dają poglądu na to, czym była twórczość nowelistyczna Prusa ani na tle epoki, ani w jego działalności artystycznej.

Natomiast układ chronologiczny powieści pozwolił autorce na osiągnięcie bardzo pozytywnych rezultatów. Uwypuklił bowiem linię rozwojową artyzmu Prusa i wskazał na zakres problemów i spraw, które kolejno najżywiej go zajmowały. Rozdziały poświęcone „Placówce", „Lalce", „Emancypantkom" i „Faraonowi" dają istotnie „zestawienie wyników badań" w tej dziedzinie, a czasem nawet samodzielnie i krytycznie nowe naświetlenie, które wyrastając ponad intencje autorki jest wyrazem jej długotrwałej pracy nad tymi zagadnieniami.

Najbardziej samodzielny jest rozdział ostatni, charakteryzujący Prusa jako artystę, człowieka i socjologa „...który pierwszy chyba w literaturze polskiej, potrafił ujmować człowieka wraz z determinującym go tłem socjalnym".

Książka Janiny Kulczyckiej-Saloni jest typową pracą popularyzującą, nie tylko dlatego, że podaje to, co jest wynikiem dotychczasowej wiedzy o Prusie artyście i człowieku. Jest opracowaniem popularyzującym także dzięki temu, że stosuje się do pewnych metod dydaktycznych i sposobu wykładu w liceum. Omawiając np. powieści autorka systematycznie rozpatruje kolejno ideologię, postacie, humor, itp. wydobywając te wszystkie momenty, które są najczęściej przedmiotem pytań i zadań maturalnych. Rozpatrując w rozdziale pierwszym zagadnienia związane z epoką też nie wychodzi poza ogólnikowe, ale właśnie niezbędne minimum wiadomości zasadniczych. Ta sama troska o zapełnienia luki w pracy nauczyciela prowadzi do wydobywania z książki momentów wychowawczych. Autorka silnie i wielokrotnie podkreśla znaczenie postawy moralnej i etycznej Prusa. Kładzie nacisk na społeczny charakter jego działalności literackiej i publicystycznej. Ten ostrożny i dyskretny w wyrazie dydaktyzm można zakwestionować tylko w wypadku, gdy J. Kulczycka-Saloni formułuje bardzo zdecydowane i zbyt słabo umotywowane oceny. „Emancypantki" powieść tak bogata ideologicznie, poruszająca tyle najrozmaitszych problemów reprezentuje jednak niezbyt wysoki poziom artystyczny; słabą jej stroną jest przede wszystkim konstrukcja fabuły". Wypowiedzi takich jest wiele. Nie wdając się tutaj w ocenę trafności sądu, można się jednak zastanawiać, czy słuszne jest narzucanie młodzieży gotowych, dość łatwo skonstruowanych opinii.

„Bolesław Prus" J. Kulczyckiej-Saloni jest niewątpliwie opracowaniem bardzo pożytecznym dla młodzieży. Syntetyzuje inteligentnie wiadomości o życiu i twórczości wielkiego pisarza, zbliża go do naszej epoki przez podkreślenie jego głębokich zainteresowań społecznych, uczy go cenić jako człowieka uczciwego i szlachetnego.

Ewa Korzeniewska

1) „Bolesław Prus", Janina Kulczycka-Saloni, Spółdzielnia Wydawnicza „Polonista", Łódź, 1946 r.

POWIEŚĆ O GRECJI WALCZĄCEJ

W kwietniu 1941 roku Niemcy zaatakowali Grecję; w dwa miesiące później słynnym desantem powietrznym zdobyli Kretę, obsadzoną przez wojska angielskie, które składały się — w znacznej części — z oddziałów australijskich i nowozelandzkich. Gdy ogłoszono ewakuację Krety niedobitki Nowozelandczyków i Australijczyków gromadziły się na południowym wybrzeżu wyspy, skąd zabierały ich na pokład pościgowce angielskie. Ale wkrótce, po częstych desantach niemieckich, żołnierze, którzy nie dostali się na pościgowce, zmuszeni byli uchodzić w góry. Tam ukrywali się niekiedy przez dłuższy okres czasu, dopóki Niemcy nie zabrali się do oczyszczenia terenu. Kreteńczycy na ogół chętnie i życzliwie pomagali ukrywającym się żołnierzom angielskim i australijskim, którzy często schodzili z gór i wypadali na brzeg morza z zamiarem zdobycia czółen i przedostania się do Egiptu. Tym wydarzeniom pisarz australijski James Aldridge poświęca swą ciekawą powieść „Orzeł Morski"*). Książka ukazuje nam fragmenty dziejów ruchu oporu. Ściślej — dzieje jednej skonsolidowanej grupy, której zadaniem była walka z faszystowskim rządem dyktatora Metaksasa. Z chwilą, gdy Niemcy zaczęli okupację Krety, cała siła tej grupy zwróciła się przeciwko nim. Zorganizowani Kreteńczycy nie zaprzestali walki z Metaksistami, którzy częściowo współpracowali z Niemcami. Powieść ukazuje wyraźnie powiązanie spraw „starszych i młodszych braci" — Niemców i metaksistów.

Treść powieści jest prosta i nie skomplikowana. Dwaj Australijczycy w towarzystwie jednego Greka — wszyscy trzej kryjący się przed Niemcami — usiłują zdobyć czółno i przedostać się z Krety do Egiptu. Uzyskanie czółna napotyka jednak na ogromne trudności. W wędrówkach swoich stykają się z grupą partyzancką byłych przeciwników Metaksasa, złożoną z rybaków, nurków i naprawiaczy sieci. Grupa ta przy pomocy bohaterów książki zdobywa fort, w którym jeszcze Metaksas uwięził swego czasu swoich przeciwników politycznych, nie wypuszczając ich pomimo zajęcia wyspy przez Niemców. Pokazani są obok partyzantów metaksiści, których delegacja pragnie antyfaszystowską grupę partyzancką skłonić do współpracy i podporządkowania się. W perypetiach powieści ginie jeden z Australijczyków, drugi odjeżdża na czółnie do Egiptu, ich towarzysz Grek — przedstawiciel antyfaszystowskiego ruchu oporu zostaje na Krecie, na czele grupy partyzanckiej, po śmierci jej poprzedniego dowódcy. Książka ma charakter prostej opowieści, pełnej przygód, trzymającej w napięciu dzięki zręcznemu przeprowadzeniu akcji i interesującej fabule.

Stylistyczne walory wyróżniają ją przytem wyraźnie i korzystnie z szeregu powieści wojennych, szczególnie odbija ona na tle dużej ilości polskich książek na tematy okupacyjne. Godna uwagi jest zwartość i powściągliwość jej stylu, przejawiają się te cechy najdobitniej w prostym układzie kompozycyjnym, nieskomplikowanym a ciekawym sposobie przedstawienia osób działających, w zupełnym prawie braku jakichkolwiek lirycznych wstawek (mimo, że temat temu sprzyja) w najdrobniejszych dialogach i monologach wewnętrznych, w typie używanych poetyckich porównań — słowem w całej dobrej robocie literackiej.

Układ kompozycyjny skonstruowany został według prostych schematów: rozdział I zawiera dokładne zlokalizowanie przestrzenne i czasowe, historyczne akcji. W następnych rozdziałach toczą się równoległe obok siebie losy trzech bohaterów w chronologicznym następstwie zdarzeń, bez specjalnych kompozycyjnych ciekawostek — prosto, składnie, niewyszukanie.

Rozrzucone po książce tu i ówdzie poetyckie opisy przyrody, odznaczają się konsekwentnie niezwykłą ścisłością informacji i krótkością np.: „Nisko w dole leżała spokojna dolina, oświetlona słońcem, a cienie rozłożystych zielonych drzew jaworu kładły się na ziemię, białą od warstw wapienia z okresu trzeciorzędu, dającego się winnym pedom" (str.43) albo „Szczyt zbocza rysował się wyraźnie na czarnym niebie białą linią poszarpaną przez krzaki" (str. 57). Podobnie ścisłe, niemal że wyjęte z fachowego podręcznika żołnierskiego są

*) James Aldridge, „Orzeł Morski", przekład z angielskiego Marii Fiderer, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1946.

informacje co do rodzajów broni: „...każdy miał karabin maszynowy, 7,65 mm, bardzo podobny do fińskiej suomi, trochę mniejszy jak Thompson" albo „mały syryjski nóż. Bardzo ostry, z zakrzywionym końcem, z damasceńskiej stali" — możnaby cytować masę podobnych przykładów.

Dialogi między postaciami działającymi są pełne realizmu i zwięzłości. Często stosuje Aldridge monolog wewnętrzny — jest on zawsze zwarty i nigdy zbyt długi. Dążenie do wprowadzenia w obrazy poetyckie jak największej ścisłości możemy zaobserwować również w dziedzinie porównań: są one zestrojone z charakterem występujących postaci, operują zespołem pojęć, związanych z typem ich umysłowości, rozwijających się w klimacie cywilizacji technicznej, „był jak pocisk, jak siła światłości, szybkość dźwięku, jak wybuch kłębiących się elektronów", „serce pulsowało jak motor o 240 HP', „...roześmiał się głośno w ciemności. Brzmiało to jak trzykrotne sapnięcie motoru Diesla".

Jak wspomnieliśmy — książka ta — odbija korzystnie na tle polskiej literatury okupacyjnej, pełnej właśnie typowego rozliryzowania, a często grzeszącej np. nieścisłością w zakresie najprostszych realiów. To pierwszy i ważny powód, dla którego warto ją było przetłumaczyć. Istnieją jednak bardziej ważkie powody, dla jakich należy pochwalić inicjatywę Spółdzielni Wydawniczej „Książka": ta pierwsza z wydanych po wojnie powieści tłumaczonych z angielskiego jest nie tylko powieścią o Grecji walczącej ale wydanym przez pisarza brytyjskiego Imperium niezwykle interesującym świadectwem roli jaką w tej walce odgrywał rodzimy grecki faszyzm i walka z nim. Książka ta rzuca osobliwe światło na to, co się dzieje w Grecji obecnie. Daje znamienny przekrój greckiego społeczeństwa, pokazuje kto w nim walczył z Niemcami i jak. Czyni sprawy tego odległego od nas kraju o wiele zrozumialszymi — wyjaśnia niejeden suchy komunikat z gazety.

Na pochwałę zasługuje staranny przekład Marii Fiderer.

Maria Janion.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

„SZCZĘŚCIE FRANIA" W TEATRZE T. U. R.

A jednak przyjemnie jest — po symbolicznych i metafizycznych nastrojach, z jakimi spotykaliśmy się od „Elektry" aż po „Orchideję" — zobaczyć znowu starą „zwyczajną" sztukę sceniczną, dobrze napisaną i rzetelnie umieszczoną swoimi sprawami w określonym historycznym czasie. Doznaje się uczucia prawdziwej ulgi.

Te sprawy zresztą — zawarte w „Szczęściu Frania" Perzyńskiego — innej trochę nabierają wyrazistości teraz, gdy patrzymy na nie z perspektywy czasu, niż może miały wówczas, przed pierwszą wojną światową, kiedy były w otoczeniu rzeczywistości aktualnej, a zatem dostrzegalnej tylko fragmentarycznie. Dziś całą epokę mieszczańską widzimy w jej całokształcie, widzimy przedewszystkiem jej skutki, jej finał. Dlatego też dzisiaj zainteresowanie nasze przesuwa się nieco — i uwagę naszą pochłania nie to, co w owych czasach wydawało się tu najdramatyczniejsze, a mianowicie skandal z powodu nieślubnego dziecka, lecz to, co mocniej historycznie pokazuje pewną rzeczywistość społeczną tej epoki, a mianowicie postać Frania w dosadnie scharakteryzowanym otoczeniu mieszczańskim.

Prawdę mówiąc — obłąkana tragedia z powodu nieuważnego romansu panny Lipowskiej smieszy nas potrosze. Tym bardziej, że w związku z tym wydarzeniem wszyscy bez wyjątku wyrywają sobie włosy z głowy w głośnej nieutulonej rozpaczy. Nawet „cyniczny" Otocki zdradza w rezultacie najgłębsze emocje. Na niego również patrzymy dziś nieco inaczej. Na tego sympatycznego malarza, którego się uwodziło, do którego się w zupełnie określonych celach poszło i którego chciano potem za to „przyskrzynić".

Natomiast sprawy Frania nie przestały być dla nas poważne dzięki właśnie swemu historycznie głębszemu znaczeniu, znaczeniu aż do dziś aktualnemu w swych skutkach. Zasugerowany spróchniałą już moralnie ale dla niego nieosiągalnym blaskiem świecącą wspaniałością rodziny mieszczańskiej — Franio reprezentuje wyobrażenia wielu jemu podobnych o awansie społecznym. W owych czasach i jeszcze długo potem — mimo istnienia już potężnych, świadomych swojej roli ruchów robotniczych i coraz intensywniejszej walki proletariatu o swoje własne prawa — tysiące takich „Franiów" patrzyło jak w tęczę w blichtr mieszczański, a jeżeli nawet po gorzkich zawodach otwierało oczy, to jednak pozostawało w podłej wierności aż do końca, aż do równie podłego utożsamienia się z tym blichtrem. Franio ze sztuki Perzyńskiego wałęsa się wśród strasznych mieszczan, kopany i poniewierany, a jednak pozostaje ich podporą, przedłużeniem ich egzystencji.

„Szczęście Frania" w Teatrze TUR w Łodzi

Z tego wszystkiego powinny wynikać dla dzisiejszego reżysera wyraźne wnioski, dotyczące sposobu wystawienia sztuki. Nowy na terenie teatru reżyser, Leon Pietraszkiewicz, mimo że debiutował z talentem — nie ustalił hierarchii spraw tak, jakby się to zrobić powinno biorąc pod uwagę stosunek do tych spraw dzisiejszego człowieka. Wydaje mi się, że nie należało rozśmieszać widowni psychologiczno - dramatycznym ujęciem całej afery nieślubnego dziecka. Poprzez tę aferę autor sztuki uwypukla gatunek moralności mieszczańskiej. Tak. Ale może trzeba było raczej pokazać to w formie groteski, rozśmieszyć widownię groteskową karykaturą obyczajowej mieszczańskiej „tragedii". A przy takim ujęciu sprawa Frania — sprawa tu najważniejsza — znalazłaby się jeszcze bardziej na pierwszym miejscu.

Mankament zasadniczy: potraktowanie spraw zbyt mocno od strony psychologicznej. Psychologizm na scenie ze swym nadmiernym pokazywaniem „przeżyć wewnętrznych" wydaje mi się tu zupełnie zbędny. Jeżeli to zrobiono w imię „realizmu" — to pomyłka. Psychologizm w teatrze nigdy nie jest realistyczny. Psychologizm — to ornamentyka.

Ta ornamentyka psychologiczna bardzo zaszkodziła aktorom tego widowiska. Miotali się, krzyczeli i łkali trochę już nazbyt przesadnie. Sprawom, które zawierała sztuka, wcale to nie pomagało. Sprawy te były i tak dostatecznie wyraźne. A szkoda, że taką właśnie wszyscy obrali formę gry, bo w zasadzie zespół aktorski był dobry. Gdyby nie to — Dejmek w roli Frania byłby znakomity, a mimo to nawet — znakomita była Tymowska w roli pani Lipowskiej. Nawrocka w roli Heli, była też bardzo dobra w niektórych swych kwestiach, ale nie we wszystkich.

Wiele sytuacji zorganizowanych zostało przez reżysera doskonale. Dekoracje Tadeusza Kalinowskiego dały trafną charakterystykę mieszczańskiego domu owej epoki.

Juliusz Żuławski

MARIUSZ MARGAL

Po klęsce Hollywoodu w Cannes

A więc jednak przemysł. Przemysł, jak pisały amerykańskie tygodniki filmowe przed festivalem w Cannes, a nie w pierwszym rzędzie: sztuka. Bo do stworzenia filmu trzeba przede wszystkim tysięcy metrów taśmy, dziesiątków skomplikowanych aparatów i setek sal kinowych, a Francja nie ma ani środków do produkcji taśmy ani pieniędzy na sprowadzenie aparatów ani robotników do budowy sal kinowych, których jest teraz zaledwie 4000 w całym kraju. Więc wzrasta koszt produkcji każdego filmu, ale bynajmniej nie wzrasta jakość i nie zwiększa się liczba widzów. Więc rośnie deficyt, pogarszają się warunki pracy i filmowcy zaczynają nawet opuszczać Francję udając się do Włoch. I wtedy to właśnie Blum udał się na nowojorską prośbę, by na szejlokowskich warunkach wyżebrać dla Francji niezbędne dla niej surowce. Wykorzystali producenci Hollywoodu tę wizytę i właśnie do Francji skierowali nabrzmiałą sześcioletnim zawarciem bram Europy produkcję swoich studio. I chociaż protestowali we Francji wszyscy, że jeszcze gorzej będzie niż dotąd, że teraz tylko śmierć dla francuskiego filmu, to przecież podpisano i ten punkt układu, a za wracającym do Paryża Blumem wdarła się niepohamowanym zalewem produkcja Hollywoodu. Teraz przyśle zapewne taśmę Eastman-Kodak i może nawet maszyny (aby nie najnowsze!) przejadą się przez ocean, ale tyle ich tylko będzie, aby nie za dużo mogli stworzyć francuscy filmowcy, aby we Francji widz musiał dalej płacić amerykańskim producentom za ich happyendowe historyjki, a różne Foxy i Warnery by nie miały zagranicą jeszcze jednego poważnego konkurenta. I dlatego warto im nawet pokryć francuskie deficyty filmowe.

Liczyłem. Przez trzy miesiące począwszy od października skrzętnie notowałem każdy wchodzący na paryskie zero-ekrany nowy film. Było niecałe 30% francuskich. Jak podniesiono. Nie więcej. Tak to widz francuski spotkał się po wojnie z amerykańskim filmem. Najpierw się dziwił. Potem się denerwował. Nakoniec wybuchł niezadowoleniem prasy i krytyków filmowych. Bo okazało się, że to nie lata wojenne i spowodowane nimi trudności. Okazało się, że głęboki długotrwały i poważny kryzys, w który wchodzi amerykańskie społeczeństwo, wżarł się i w kinematografię. Że źle się dzieje w Ameryce jeśli film ma być odzwierciadleniem smaku artystycznego i zainteresowań mas.

Wyprodukowano dziesiątki i setki filmów. Były różne: śmieszne i tragiczne, operetkowe i wojenne, taneczne i policyjne, kowbojskie i psychologiczne. Nie było jednego, który by mówił prawdę. Nie było jednego, który by zajął się problemami życia człowieka bez kłamstwa i obłudy. Nie było jednego, który by poruszył zagadnienia społeczne, ekonomiczne, narodowe, polityczne. Nie było ani jednego filmu to znaczy: nie było w Stanach Zjednoczonych ani jednego człowieka, który by miał odwagę to uczynić.

Widziałem filmy wojenne. To Cecil de Mille zrealizował „Odyseę dra Wandella", która na tle historii rzuconego przypadkiem na Daleki Wschód lekarza amerykańskiego miała zobrazować wojnę z Japonią. Szukałem śladu prawdopodobieństwa, szukałem okruchu umiaru — taśma rozhuczała się niesamowitą strzelaniną, mówiła o pragnieniach miłosnych, aby w końcu zamilknąć niezrozumiałym happy endem. W „Pięciu tajemnicach pustyni" grał Stroheim. Był wspaniały jako gen. Rommel. Ale czy rzeczywiście hitlerowski wódz był sympatycznym bohaterem, którego zajmowały bardziej przelotne miłostki niż zdobywczy marsz na Egipt?

Filmy policyjne: on kocha swą szwagierkę, więc — rzecz prosta — zabija swoją żonę. Czyni to w wyrafinowany sposób i policja nie może natrafić na ślad sprawcy. Ale w końcu udaje się na miejsce zbrodni i tam zostaje schwytany przez oczekującą zbrodniarza policję. „Kręcone schody". Piękna dziewczyna uwięziona przez notorycznego mordercę — „The gun for hire". I wszędzie trupy, strzały i sadyzm. Sadyzm wzrastający do niesamowitych rozmiarów.

Komedie: „To się nazywa miłość". Młode, z uczucia nawiązane małżeństwo. Ale ona ma zasady. Uważa, że do szczęścia konieczna jest kilkumiesięczna abstynencja w pierwszym okresie po ślubie. Więc on, udręczony małżonek, kusi, namawia i błaga. A ona nic. Kiedy jednak wreszcie ulega wtedy on hardo odpowiada, że nie. Pod koniec oczywiście się godzą, bo przecież trzeba szczęśliwie kończyć filmy. Albo „Standing room only". Temat (komediowy!) oparty o kryzys mieszkaniowy w USA. Dyrektor (!) dużej fabryki nie może znaleźć pokoju, by połączyć się w nim ze swą ukochaną. Więc postanawiają pójść na służbę do pewnego bogatego domu. On zostaje służącym, ona kucharką. Oczywiście moc śmiesznych perypetii, ale przecież nareszcie młoda para może się, choć w tajemnicy przed „państwem", spokojnie przespać.

Filmy szpiegowskie: „Krew na słońcu" zrealizował Frank Lloyd. Młody dziennikarz amerykański odkrywa tajne plany imperialistyczne Japonii i jest śledzony przez tajną policję, która nasyła na niego piękną młodą kobietę. On nie wie oczywiście, że ona jest szpiegiem i pozwala się, nieszczęsny, usidlić. Ona oczywiście go wydaje, ale on był przezorny i zawczasu nauczył się jiu-ji-tsu, bije więc 10 wrogów w ciągu 2 minut i w oczach goniących go policjantów wskakuje do przejeżdżającego auta, by ujść z życiem z opresji.

Filmy historyczne: rzecz dzieje się 100 lat temu na Południu. Murzyni śpiewają swoje smętne pieśni, z których miał się zrodzić jazz, i uprawiają plantacje bawełny. Ale nie Murzyni są ważni. Ważne jest, że on w lśniącym surducie nie może się zdecydować kogo wybrać: ją — piękną, szlachetną i zdrową, czy drugą ją — piękną, szlachetną, lecz sparaliżowaną. Więc szlachetna zdrowa poświęca się i otwiera jego ramiona dla rywalki. Wszyscy wraz z Murzynami się cieszą i „Dixie", bo tak nazywa się film, kończy się happy-endem.

Widziałem, jak sobie Hollywood wyobraża francuski Ruch Oporu. Byli sympatyczni Niemcy i groźni, odstraszający Francuzi. Była harda Francuzka, matka członka Ruchu Oporu i delikatny oficer Wehrmachtu, który policzkuje żołnierza za stłuczenie porcelany podczas rewizji. Był zuchwały adwokat, Francuz, który bronił zabójcę kolaboracjonisty i skruszony gestapowiec, który na dźwięk bezlitośnie oskarżających słów adwokata opuszcza salę ze zwieszoną głową. Film „Żył wolny" zrealizował Jean Renoir. Przed wojną stworzył „Towarzyszy broni".

Widziałem filmy rewiowe i taneczne. Barwne majteczki na pięknie zbudowanych biodrach i prowokujące staniczki z tygodnika „Esquire", gdzie były przeznaczone dla frontowych żołnierzy amerykańskich, przeszły na technicolor taśmy. Pin up girls. Nowe szaleństwo Ameryki. Pięćsetmetrowe kolejki przed „Balem syren". Rita Hayworth z „Gildy" marzeniem mężczyzn. Rozdygotana dłoń na piersiach towarzyszki. Jeszcze więcej bogactwa. Jeszcze więcej przepychu. Jeszcze więcej zbytku. (Imieniem Gildy nazwano bombę atomową, która miała zmieść Bikini!).

Widziałem nowe filmy z dzikiego Zachodu. „Chodzi o stworzenie potężnej amerykańskiej tradycji i pokazanie możliwości rozwiązania starcia wielkiej przygody z prawem" pisał o potrzebie tych filmów jeden z amerykańskich krytyków. Widziałem przykładne historyjki o biednych milionerach na temat „pieniądze nie przynoszą szczęścia", jak „The Palm Beach Story" lub „Należysz do mnie". I t. zw. „remake" — nowe filmy na stare tematy. Więc jeszcze raz „Złodziej z Bagdadu", „Dr Jekyll i Mr. Hyde". „Znak Zorry" „Boczna ulica" (o ileż gorsza niż ta dawna!) i inne. I film „Zielone łąki", gdzie pokazano Murzynom Boga Ojca, który przykazywał posłuszeństwo, obowiązkowość i pilność.

Przeszło 400 filmów wychodzi co rok ze studio Ameryki. Co rok przeszło 150 z tej liczby (prawdopodobnie najlepszych) wysyła się do Francji. I — u licha! — ani jednego dobrego! Są dobre. Są dobre z braćmi Marx, ale to bracia Marx czynią je śmiesznymi. Są naprawdę dobre z Bette Davis, ale to Bette Davis czyni ze swej roli wspaniałość. Są niezłe filmy muzyczne (np. „Błękitna rapsodia" o Gershwinie), ale ich jedyną wartością jest dźwięk. Są filmy rysunkowe Walta Disneya (o innych nie warto mówić), dokoła których toczy się kampania, bo i one wchodzą w impas. Nienajgorsze są rzadkie zresztą krótkometrażówki dokumentalne, jak „Hitler żyje?". Ale już filmy Orsona Wellesa, które musnęły nieco zagadnienia społeczne i odeszły od szablonu nie dały zysku amerykańskim producentom. Zeszły z ekranu. I to jest suma tych 150 importowanych do Francji filmów. Tych najlepszych. A reszta? Prawda — interpretacja aktorska świetna, opracowanie techniczne nadzwyczajne. Ale to tak, jak czytać złą książkę w luksusowym wydaniu.

Przeszło 200.000 ludzi pracuje w Stanach Zjednoczonych dla filmu. Są w tej liczbie literaci, artyści, muzycy, malarze, krytycy. Czy są ślepi? Nie, nie są ślepi. Widzą, ale producent filmowy jest wszechwładnym panem. Uczynił z literata kupnego pionka. Uczynił z reżysera — rzemieślnika, który ma przelać zamówioną przez producenta formę. A krytyk filmowy może conajwyżej uskarżać się na scenarzystę, że nie szuka wielkich tematów" lub na reżysera, że „jest tylko technikiem i ducha każdego pisarza oddaje równie bezosobowo". Może też wyrazić nadzieję, że rozwój filmu kolorowego, w przyszłości film plastyczny na pewno przyniosą poprawę. Lub może się skarżyć na kryzys tematu. Więcej napisać nie może. Powstały wprawdzie już związki scenarzystów (Screen writers guild), którzy chcą zerwać z narzuconym niewolnictwem tematu, i związki reżyserów, którzy chcą zerwać z narzuconym niewolnictwem formy i dialogu. Chcą bezpośredniego kontaktu ze sobą — artyści z artystami — bez ujarzmiającego pośrednictwa producenta, ale Prasa Hearsta rozkrzyczała się tłustymi tytułami o potężnym ośrodku komuny w Hollywood i o niebezpieczeństwie grożącemu wolności Ameryki, wytwórnie wszelkimi sposobami — szantażem, przekupstwem i oszczerstwem zaczęły kontratak, na Chaplina znowu spłynęły setki kalumnii, ale walka się rozpoczęła.

„La Pensée" podała urywek odezwy artystów radzieckich. „Kinematografia angielska i amerykańska (piszą) realizuje po wojnie dziesiątki filmów..., których jedynym celem jest rozrywka za wszelką cenę. Producent twierdzi, że widz jest zmęczony, że chce za-

pomnieć o przeżyciach wojennych, o położonych przez niego ofiarach. Nie! Widz nie chce niczego zapomnieć. To reakcja chce, by uległ zapomnieniu czas, kiedy demokracja walczyła z faszyzmem, najhaniebniejszym jej osiągnięciem. To ona chce by przygasł wielki ruch wolnościowy ludzkości, który tak pięknie wyraził się wspólną walką ludów Europy i Ameryki przeciw hitleryzmowi. To reakcja chce, by narody świata zapomniały o historycznych doświadczeniach ostatnich lat i by poddały się jej ujarzmiającej władzy..."

Więc spytacie: A 95 milionów Amerykan, którzy co tydzień przewijają się przez 16.500 sal kinowych, by oglądać amerykańskie przecież filmy? Wytwórnie powiększają bez przerwy swą produkcję, która z roku 1944 wyniosła 442 filmy na sumę 270 milionów dolarów! Więc czy Amerykanie nie widzą, nie mają smaku artystycznego, zmysłu krytyki? Widocznie nie mają. Wieloletnia strawa emgeemów, Foxów i Paramountów oddziałała na organizm społeczeny Ameryki. Nie mają smaku artystycznego, skoro Orson Welles musiał wyjechać do Anglii po stworzeniu swego „Citizien Kane", a co oryginalniejsi reżyserzy francuscy wracają do ojczyzny, skoro poniósł klęskę „The ox Bow Incident", bo niebacznie zajął się tematem lynchu, skoro trzeba było dopiero fruwających centaurów i przedpotowych potworów przedstawionych przez Disneya w „Fantazji", by Amerykanie skonstatowali, że wreszcie zrozumieli „Symfonię pastoralną" Beethovena czy „Noc na Łysej Górze" Musorgskiego. Nie wiem zaprawdę, jaki byłby los słynnego „The lost week-end", przedstawiającego upadek moralny alkoholika, gdyby nie kończył się szczęśliwie. Producent — ten w ostatecznym rozwiązaniu niestraszną byłby przeszkodą, ale wyrosłe w narzuconym przez niego duchu masy, to zgroza. Jeżeli producenci kalifornijscy chełpią się, że zaspakajają przecież potrzeby mas, a więc idą tym samym z prądem życia, to mają rację. Tylko że ten prąd wiedzie ku przepaści.

Mariusz Margal

PS. Jak bardzo zaostrza się sytuacja w Hollywood niech świadczy depesza, którą otrzymał 15.1. związek francuskich pracowników przemysłu filmowego od swoich kolegów ze Stanów Zjednoczonych.

Oto jej dosłowny tekst:

„Hollywoodzki związek techników filmowych, malarzy, elektrotechników, maszynistów, dekoratorów, scenarzystów, usuniętych przez kartele amerykańskiej kinematografii zwraca się do was z apelem o poparcie ich w walce przeciw bandyckiemu i policyjnemu terrorowi, w walce o stałe kontrakty i o poziom płac. Wszystkie filmy amerykańskie są realizowane obecnie w pożałowania godnych warunkach przez robotników wyłamujących się spod zarządzeń strajkowych. Prosimy was bezwzględnie o nieudzielanie waszego patronatu amerykańskim filmom realizowanym w takich niesprawiedliwych warunkach i prosimy o rezolucję popierającą usuniętych pracowników filmowych. List nastąpi. Dziewięć tysięcy robotników filmowych Hollywoodu apeluje do waszej solidarności i prosi o telegraficzne zawiadomienie o podjętej akcji. Z braterskim pozdrowieniem: Herbert K. Sorrell (w imieniu konferencji związków pracowników studio)".

Odpowiedź brzmi:

„Robotnicy przemysłu filmowego Francji przesyłają wam braterskie pozdrowienie. Są całkowicie solidarni z podjętą przez was akcją. Oczekujemy waszego listu, aby wydać odpowiednie zarządzenia, które by pomogły wam i przyśpieszyły wasz triumf w walce wypowiedzianej w obronie warunków egzystencji i w obronie waszych praw. Podpisano: Charles Chezeau (za międzynarodowy komitet związków pracowników przemysłu filmowego)".

m m

Sprostowanie

Do ostatniego (15) numeru „Kuźnicy" wkradło się wiele przykrych błędów. Między innymi w artykule wstępnym **Stanisława Szenica** p. t. **„Przemysł niemiecki przed Trybunałem Norymberskim"** na str. 1 wiersz 13 opuszczono nazwisko głównego oskarżonego w procesie — Flicka. Odnośne zdanie powinno brzmieć: „Pierwszym pociągniętym do międzynarodowej odpowiedzialności spośród przemysłowców niemieckich nie jest Gustaw Krupp von Bohlen i Halbach, którego choroba uratowała przed zasiadaniem wspólnie z Göringiem na ławie zbrodniarzy w Norymberdze, lecz potentat stalowy i były Wehrwirtschaftsfuehrer Fryderyk **Flick. Współoskarżonymi są jego bliscy współpracownicy Otto** Steinbrinck, Konrad Kaletsch, Bernard Weiss i Hermann Terberger.

W tym samym artykule na str. 2, 4-ty wiersz od końca artykułu powinno być nie **„Flickierowi"** lecz **„Flickowi"**.

Do artykułu **Kazimierza Budzyka** p. t. **„Szkodliwa książka"** wkradł się błąd w postaci zamieszczenia w środku artykułu u dołu str. 10 podpisu **„Kazimierz Górski"**. Autorem całego artykułu p. t. „Szkodliwa książka" na str. 10—11 jest **Kazimierz Budzyk.**

W tymże artykule na str. 10 szpalta 2 zdanie zaczynające się w drugim wierszu od dołu powinno brzmieć: „Urywek ten **jest** niewątpliwie tekstem", a nie jak wydrukowano: „Urywek ten **nie jest**"... co oczywiście całkowicie zniekształca myśl autora.

W liście do redakcji prof. Ossowskiego zamieszczonym w 14 nr. „Kuźnicy" w sprawie artykułu o prof. Czarnowskim zamiast „pierwszych **kontaktów z TUR"** wydrukowano błędnie „pierwszych konfliktów z TUR".

Red.

PRZEGLĄD PRASY

Przed kilku dniami pewien wybitny działacz społeczny, który interesuje się sprawami kultury i ma wiele serca dla zagadnień literackich, zwrócił w towarzyskiej rozmowie moją uwagę na zbyt wielką jego zdaniem ilość pism literackich w kraju. Ta inflacja periodyków literackich — cytuję z pamięci słowa mojego rozmówcy — grozi rozproszkowaniem sił pisarskich, przerostem znaczenia spraw regionu nad zagadnieniami istotnej wagi. Mój rozmówca, który śledzi uważnie prasę, twierdzi, że już dzisiaj widać wyraźnie, jak poszczególne pisma, zwłaszcza prowincjonalne, pozostają całkowicie poza zasięgiem nowych myśli, jak nie włączając się do dyskusji nad zasadniczymi dziś sprawami — po jednej czy drugiej stronie ideologicznego frontu — zszywają uparcie słomianą strzechę nad peryferiami literatury i zagadnień kulturalnych.

Zarzuty te, choć surowe, wydają mi się słuszne. W tej chwili bardziej już ważną rzeczą jest dbałość o poziom, o jakość, o ważkość wypowiadanych ze szpalt prasy literackiej myśli, niż zadowolenie z ilości tytułów. Bardzo pouczające, zwłaszcza dla tradycjonalistów byłoby przejrzenie półek z czasopismami przedwojennymi, jeśli przechowały się one w jakiejkolwiek bibliotece. Pism literackich przed wojną było niewiele, o wiele mniej niż dziś, ale i z tej niewielkiej liczby, kilka tylko, jak się okazuje po latach, miało jakieś znaczenie. Pozwolę sobie zauważyć, że były to przeważnie pisma o wyraźnie akcentowanej ideologii: prawicowe „Prosto z Mostu", lewicowe „Czarno na Białym", liberalno-„burżuazyjne" (jak pisze „Dziś i Jutro") „Wiadomości Literackie".

Każdy z nas cieszy się, gdy na rynku pokazuje się nowe pismo. Ale ta uciecha jak dotąd była usprawiedliwiona w kilku zaledwie wypadkach. W większości zaś wypadków nowe pismo w ciągu kilku tygodni okazywało się martwe i nieciekawe. Przez pietyzm, przez szacunek dla ludzkiej wytrwałości i pracy zbyt często przemilczamy rzeczywisty stan rzeczy lub przymykamy oczy na widok tekstów lub całych nawet numerów, które z powodzeniem mogłyby się nie ukazywać w druku.

Ukazuje się „Twórczość", która sporo miejsca poświęca poezji, artystycznej prozie, sprawom teoretycznym literatury. Wydawałoby się, że nie ma potrzeby reaktywowania wobec tego dawnych miesięczników poetyckich, które w dodatku ukazują się co kilka miesięcy — nie dlatego, by były potrzebne, lecz jedynie wskutek pietyzmu i wytrwałości ich wieloletnich redaktorów. Niedawno czytałem, że ma na nowo ukazywać się „Okolica Poetów". Zapewne ktoś da na to subwencję, zapewne ktoś da na to papier. Proszę mnie źle nie rozumieć — nie jestem przeciwnikiem „Kameny" czy zamierzonej „Okolicy Poetów". Myślę tylko, że w okresie powolnej, lecz nieustanej centralizacji, wydawanie pism, które w dzisiejszym układzie rynku wydawniczego, skazane są na wegetację, nie jest rzeczą najpilniejszą. Wartościowy materiał, jaki napływa do tych redakcji, z pewnością znalazłby uznanie w istniejących już pismach.

Drugą sprawą, niemniej ważną, jest to, że wszystkie prawie pisma prowincjonalne (myślę tu o tych, które ukazują się poza trójkątem Warszawa — Łódź — Kraków) pozostają poza żywą wymianą myśli, jaka toczy się od dwuch lat w pismach reprezentatywnych dla współczesnego stanu zagadnień kulturalnych w Polsce. Prowincja nie tylko nie jest obsłużona przez prasę w sensie zapoznania się z treścią współczesnych zagadnień kulturalnych, lecz wprost przeciwnie: pisma kulturalno-literackie, ukazujące się poza wymienionym przeze mnie trójkątem jak gdyby chroniły swoich czytelników przed zetknięciem się z nowymi myślami i poglądami. Dla bydgoskiej „Arkony" nie istnieje nic poza marynistyką i miejscowym folklorem, dla lubelskiego „Zdroju" niewiele ponad ośrodek lubelski i tp. i tp. Ziemie zachodnie, nieraz już o tym pisałem, mają swoje odrębne prawa.

Byłoby rzeczą pożądaną, gdyby dyskusję rozpoczęli publicyści, pisarze, działacze oświatowi. Może te kilka wyżej przytoczonych i własnych moich wypowiedzi posłuży, jako ogólnikowe i prowizoryczne zagajenie tej dyskusji nad polityką wydawniczą w dziedzinie czasopiśmiennictwa.

Powoływałem się poprzednio na „Twórczość", który uważam za wzorowy, choć nie zawsze godzę się z zawartymi w nim sformułowaniami, miesięcznik literacki.

„Twórczość" powoli odbywa ewolucję — od literatury pięknej do krytyki. Sprawozdania z bieżącej produkcji literackiej zajmują w niej coraz więcej miejsca. Powtarzam, iż nie zawsze mogę się zgodzić z oceną, czy metodą oceniania, jaką stosują współpracownicy pisma. Ale wolę w tej chwili mówić o zasługach: otóż jest niewątpliwą zasługą „Twórczości", że w okresie gdy produkcja literacka się wzmaga, gdy tygodniki literackie poświęcają recenzjom coraz mniej miejsca, dział „Sprawozdań" w tym piśmie pęcznieje i rośnie z numeru na numer. Sporo miejsca zajmują również w ostatnich numerach (2 i 3) essaye lub prace krytyczne. A więc w numerze 2 należy wymienić studium Wacława Kubackiego o wpływie włoskiego teoretyka teatru połowy XVIII wieku, Calzabigiego. Przytem uwidocznione zostały związki między naszą wczesnoromantyczną twórczością i Metastasiem.

W nr. 3 mamy licznie zebrane mickiewicziana w postaci nieznanych dotąd tekstów odszukanych w archiwach moskiewskich już po wojnie. Dla „Twórczości" zostały one przygotowane przez Stanisława Pigonia. Krystyna Grzybowska poprzedza przedmową i podaje do druku Biografię Wawrzyńca Puttkammera.

W tym samym numerze redakcja ogłasza zapoczątkowanie nowego, interesującego działu, w którym zostanie omówiony dorobek nauki i sztuki polskiej i będą „przemyślane sposoby rozprowadzenia dóbr kulturalnych". Pierwszym artykułem z tego cyklu jest praca Tadeusza Lehr-Spławińskiego: „Slawistyka w Polsce przed i po drugiej wojnie światowej". Wreszcie w interesującej dyskusji o Hermanie Hesse zabierają głos: Kazimierz Wyka, oraz Barbara Gluth. Numer zamyka bardzo ciekawa kronika czeska.

Szczęśliwe połączenie dobrze napisanych prac krytyczno-essaistycznych z interesującymi niekiedy bardzo tekstami literackimi, zwłaszcza zaś obszerny dział sprawozdawczy — wszystko to każe mi widzieć w „Twórczości" najbardziej zbliżony do ideału typ pisma literackiego, przeznaczonego dla tych, którzy interesują się współczesną literaturą i śledzą jej wydarzenia. Myślę, że w tej chwili niewielu jest takich i dlatego rzeczą ważniejszą niż mnożenie pism literackich winna być sprawa zbliżenia dotychczasowych czytelników Sienkiewicza do zagadnień współczesnej sztuki, dotychczasowych czytelników literatury odpustowej do Sienkiewicza i td. Poto jednak konieczne są podręczniki szkolne, szeroka sieć oświatowa pozaszkolna, a przede wszystkim tania, dobra, wielotysięczna książka, zawierająca tekst klasyczny. Oto nasz program minimum!

ph.

Z ZAGADNIEŃ POLSKIEJ ORIENTALISTYKI *)

Leżąca na wielkiej rubieży między Wschodem a Zachodem Polska wchłaniała w ciągu wieków ze Wschodu, oprócz rozmaitych infiltracyj i wpływów kulturalnych niejedne nawarstwienia etniczne, stanowiące jakby żywy łącznik między Polską a całym wielkim światem Wschodu. Takim łącznikiem byli Ormianie polscy, byli nimi Tatarzy polscy, takimi byli i są Karaimi. Mało kto z pośród szerszej publiczności orientuje się dobrze kim i czym są Karaimi, wiadomo, że wyznają mozaizm, nie każdemu jednak wiadomo, że ta drobna grupka ma za język ojczysty narzecze języka tureckiego. Według bowiem nowszych badań ludność karaimska przypuszczalnie w dużej mierze pochodzi od Chazarów, plemienia tureckiego, nawróconego w pewnej części gdzieś w VIII wieku na mozaizm, być może w jego karaimskiej postaci, a następnie rozbitego przez tworzące się państwo ruskie.

Ponieważ język karaimski zachował wiele tak form jak i zapasu leksykalnego z języka staroturreckiego stąd tak wiele zainteresowania wzbudził w kołach zagranicznej orientalistyki tureckiej czy radzieckiej. Słusznie też i polska turkologia dużo uwagi zagadnieniu karaimskiemu poświęca.

Karaimi, mimo językowych i folklorystycznych odrębności zlali się z otoczeniem polskim, stali się dobrymi synami swej nowej Ojczyzny a wierności swej dali niedawno dowody w ciężkich dla Rzeczypospolitej terminach jak choćby ostatnio pod obuchem hitlerowskiej okupacji. Na mocy umowy polsko - radzieckiej Karaimi, tak jak i Tatarzy polscy, uważani są za Polaków i mają przesiedlać się z ziem za Bugiem na ziemie zachodnie, gdzie już wielu się osiedliło.

Tymczasem wznowiono — tym razem we Wrocławiu — stare czasopismo karaimskie „Myśl Karaimska" pod redakcją prof. Uniw. Warsz. dr A. Zajączkowskiego. „Myśl Karaimska" nie ogranicza się bynajmniej do spraw karaimskich, ale jako organ tej grupy, która stanowi żywy łącznik świata tureckiego z Polską rozszerza swój zakres na całą turkologię, stając się organem żywej orientalistyki, nie ograniczającej się do żadnych sztucznych ram a dbając o wysoki poziom swych artykułów nie wyrzeka się rzeczy o charakterze popularniejszym i w przystępnej dla „laików" formie.

Pierwszy numer „Myśli Karaimskiej" zawiera przede wszystkim dłuższą rozprawę prof. A. Zajączkowskiego „O kulturze chazarskiej i jej spadkobiercach". Zainteresowanie Chazarami jest zupełnie zrozumiałe, gdyż według nowszych badań — jak już wyżej mówiliśmy — potomkami Chazarów są po części właśnie Karaimi. Stąd zrozumiałe zainteresowanie dla dawnego tajemniczego państwa Chazarów, stąd zaciekawienie jakie budzi ich kultura, stan ich organizacji państwowej. A zagadnienie chazarskie wiąże się z całym kompleksem problemów etnicznych i kulturalnych południowej Rosji w czasach przed utworzeniem się jednolitego państwa ruskiego. Wszakże państwo chazarskie leżało na terytorium późniejszej Rusi (obecnego Związku Radzieckiego) i jego dzieje odbiły się silnym piętnem na procesie formowania się społeczeństwa ruskiego, tak jak kultura chazarska musiała wywrzeć swój wpływ na kulturę ruskich ziem nad Morzem Czarnym. Ostatnie badania uczonych radzieckich (m. in. akad. Grekowa) nad przeszłością Rusi kijowskiej rzuciły na te intersujące procesy historyczne wiele nowego światła. Państwo chazarskie — według słów rosyjskiego uczonego Moszina — było ciekawym przykładem cywilizacji powstałej przez połączenie elementów kultury koczowniczej tureckiej z tradycjami bizantyjskimi, irańskimi, arabskimi i żydowskimi. Mieszały się tam pierwiastki chrześcijańskie, muzułmańskie, mozaistyczne, prototureckie, kaukaskie. Powstało stąd nadzwyczaj ciekawe skrzyżowanie ludów, kultur i wyznań.

Niewątpliwie Chazarowie byli ludem pochodzenia tureckiego. Jako przeciwnicy państwa Persów stali się cennymi sprzymierzeńcami dla Bizancjum w jego walce z Persami. Chazarowie stawili potem czoła następnej po Persach fali najezdniczej z południa, Arabom, ale ulegli w X w. tworzącemu się na terenach nadczarnomorskich, nowemu potężnemu organizmowi: Rusi Kijewskiej. Ten okres był właśnie ostatnio przedmiotem badań uczonych rosyjskich jak Moszina i akad. Grekowa a echo jego odbiło się kiedyś i w znanym pięknym wierszu Puszkina. „Kak nynie zbierajetsia wieszczyj Oleg otmścit nierozumnym Chazaram"...

Jak się przedstawiało społeczeństwo i kultura Chazarów? W świetle źródeł historycznych Chazarowie byli ludem, który zachował jeszcze dużo cech ze swego nomadyzmu. Ale tworzyli równocześnie liczne miasta jak Samender, potem Itył. Olbrzymią rolą miast chazarskich, według określenia radzieckiego uczonego prof. Gauthiera było to, że były to **„centralne giełdy towarowe, gdzie skoncentrowano cały handel wszystkimi produktami północy, południa i wschodu".** Sami Chazarowie nie brali w tym handlu większego udziału, rola ich ograniczała się raczej do patronowania tym przedsięwzięciem.

W tym całym mieszanym środowisku, temu „carrefour" kultur, ludów i ras odpowiadała takaż mozaika wyznaniowa, i — jak to często bywa na Wschodzie (wbrew przyjętemu mniemaniu) — daleko posunięta tolerancja religijna. Obok chrześcijan u muzułman szerzył się śród Chazarów i mozaizm, prawdopodobnie właśnie karaimski, który rozwija się w krajach arabskich za kalifa Harun-al-raszyda (786—809) i za pośrednictwem misjonarzy dociera do stepów czarnomorskich i nadkaspijskich, gdzie znajduje zwolenników w szeregach Kumanów, Chazarów i innych ludów tureckich.

Jeżeli chodzi o kulturę materialną, to wykopaliska nie wykazują śladów jakiejś osobnej kultury chazarskiej, raczej — według słów uczonego radzieckiego Gauthiera — mamy tu do czynienia z pewną mieszaniną kultur. Za spadkobierców Chazarów nowsze badania, w dużej mierze uczonych radzieckich jak Samojłowicza, Gauthiera, uważają pewne plemiona tureckie z Kaukazu (jak Bałkarów czy Karaczajów) oraz właśnie naszych Karaimów. Plemiona te wykazują między sobą silne pokrewieństwa językowe oraz więzy w dziedzinie pewnych form kulturalnych. U Karaimów spotkać się można z wieloma tradycjami spotykanymi właśnie u dawnych Chazarów.

Zagadnienie karaimskie stanowi żywy łącznik między Polską a światem ludów tureckich. Dobrze więc, że następny artykuł znanego orientalisty polskiego prof. dr T. Kowalskiego poświęcony jest „P r ó b i e c h a r a k t e r y s t y k i j ę z y k a t u r e c k i e g o". Scharakteryzowawszy stosunki fonologiczne, pień turecki języka, tworzenie wyrazów, części mowy, łączenie wyrazów, budowę zdań, podkreśla prof. Kowalski zasadnicze cechy języka tureckiego, którymi są: **„prostota systemu fonologicznego..., charakteryczna struktura wyrazów, którymi są szeregi składające się z pewnej liczby elementów słowo- i formotwórczych, zgrupowanych po zgłosce piennej"**, które to elementy **„odznaczają się dosyć dużą samodzielnością..."**, spojone są jedynie zasadą harmonii samogłoskowej; pień nie może być poprzedzony żadnym prefiksem, są tylko sufiksy, za pomocą których z ograniczonej ilości pni tworzy się **„olbrzymią ilość wyrazów pochodnych o nadzwyczaj przejrzystej budowie"**. W budowie zdania panuje zasada umieszczania orzeczenia na końcu wyrazów, określających ubocznie okoliczności towarzyszące stanowi czy czynności, wyrażonej w określeniu. Analiza tego języka prowadzi więc do wniosku, że **„kto się po raz pierwszy zaznajomił z gramatyką jakiegokolwiek języka tureckiego nie może się oprzeć uczuciu podziwu dla konsekwencji i prostoty jego budowy"**. Ale język turecki nie jest jeden, różniczkuje się pod wpływem społecznych dyferencjacji społeczeństwa tureckiego. Tureccy koczownicy zajmują pewien obszar, **„część ich przechodzi z gospodarki pasterskо - hodowlanej na rolniczo - hodowlaną... organizuje się państwo..., dookoła władzy skupia się prupa elity, ta elitą o wyższych potrzebach życiowych jest podatniejsza na obce wpływy niż ogół..., obok gwar ludowych mamy odtąd język literacki"**. Stąd ważność tekstów ludowych, które dają **czasem** bardziej archaiczne formy niż dużo starsze teksty języka urzędowego, acz i gwa-

*) Myśl Karaimska Nr 1. Wrocław r. 1947.

ry ludowe nie są wolne od wpływów i obcych naśladownictw. Mimo tego jednak języki tureckie wykazują niewielką zmienność w czasie i w przestrzeni. Turek z Anatolii, Kirgiz z za Uralu, Turek z Kaszgarii potrafią się porozumieć w pewnej mierze w sprawach codziennego życia. Języki tureckie potrafiły też wywiązać się ze wszystkich na nich ciążących zadań, że we współczesnej Republice Tureckiej wykształcono prozę naukową, która umożliwia nawet wykład i trudnych gałęzi wiedzy.

M. Morelowski w artykule **„Zamek Najeziorny w Trokach"** wiąże przy pomocy obficie zebranego materiału źródłowego budowę zamku tureckiego z innymi budowlami, doszukując się wpływów włoskich za pośrednictwem infiltracyj genueńsko - czarnomorskich i orientalnych przez osiedlanych przy zamku Tatarów i Karaimów.

B. Baranowski w rozprawie **„Ormianie w służbie dyplomatycznej Rzeczypospolitej"** zajmuje się rolą tych rozsianych u nas kolonij wschodnich przy nawiązywaniu stosunków dyplomatycznych z państwami wschodnimi. Tak Tatarzy jak Karaimi jak i Ormianie dzięki swym znajomościom języków wschodnich predystynowani byli do roli pośredników tak przy handlowych jak i politycznych stosunkach ze Wschodem. Ormianie, którzy do Polski przybyli z terenów tureckich znali narzecze kipczacko - tureckie a ich handlowe zainteresowania były dobrym podłożem do ich roli dyplomatycznej. Już w XIV wieku Ormianie pełnią obowiązki tłumaczy bądź w miastach będących centrami handlowymi, bądź przy poselstwach.

Numer pierwszy „Myśli Karaimskiej" zawiera ponadto listę zmarłych lub poległych z ręki okupanta Karaimów oraz wiadomości odnoszące się do organizacji wyznania w obecnej Polsce.

Szata zewnętrzna, papier i druk bardzo piękne. Śród ostatnich wydawnictw wrocławskich „Myśl Karaimska" stanowi jedno z najstaranniejszych i najestetyczniej wydanych.

Jan Reychman

Orzeczenie Sądu Koleżeńskiego przy Oddziale Z.Z.L.P. w Łodzi

Wobec tego, że kol. Paweł Hertz nie przyjął propozycji kol. Millera, wysuwającej arbitraż zamiast sądu koleżeńskiego, Sąd Koleżeński przy Oddziale Łódzkim postanowił w myśl zalecenia Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Głównym rozpatrzyć sprawę i po jej zbadaniu oświadcza co następuje:

a) Kol. P. Hertz w artykule swoim p.t. „Dwa Sojusze" (Kuźnica 45 (63) 19 listopada, numer zjazdowy) nie dał powodu J. N. Millerowi do wystąpienia w piśmie „Warszawa" (Nr 1 12.1.1947) nie przekroczył bowiem w powyższym artykule przyjętych form polemicznych.

b) Oświadczenie natomiast J. N. Millera w dwutygodniku „Warszawa" posiada niewątpliwie formę obraźliwej insynuacji.

Po zapoznaniu się z wyjaśnieniem kol. Hertza, dotyczącym jego przedwojennej działalności, Sąd Koleżeński nie widzi podstaw, które by uzasadniały wystąpienie J. N. Millera, wobec tego Sąd Koleżeński postanawia zgłosić do Zarządu Głównego w Warszawie, wniosek o zwrócenie uwagi kol. J. N. Millerowi na niewłaściwość chwytu polemicznego, którego użył w swoim „Oświadczeniu". Orzeczenie to postanowił Sąd Koleżeński podać do publicznej wiadomości.

Podpisano: Jan Huszcza, Mieczysław Jastrun, Tadeusz Łopalewski.

Łódź, dn. 31. 3. 1947 r.

Komunikat P. E. N. Clubu

Zarząd Polskiego Klubu Literackiego P. E. N. prosi wszystkich przedwojennych członków P. E. N. Clubu o zgłoszenie swoich adresów najpóźniej do dn. 20 kwietnia na adres korespondencyjny: Polski Klub Literacki P.E.N., Lublin, Al. Racławickie 14, m. 59.

Prezes:
Jan Parandowski.

Koty

Pogoda i rząd

W wychodzącym w Londynie piśmie Mackiewicza „Lwów i Wilno" znajdujemy charakterystyczne migawki z obrad parlamentu brytyjskiego.

„Mówiąc w parlamencie, czytamy w piśmie, o repatriacji Polaków, minister spraw wewnętrznych Mr Ede uczynił zabawną uwagę: „Przypuszczam, że liczba niezdecydowanych obecnie się zmniejszy. Ciekawą jest rzeczą, że zmiany w angielskiej pogodzie przekonały niektórych Polaków o przewadze klimatu polskiego nad naszym".

„To nie klimat, ale rząd polski wolą od naszego", przerwał głos z sali. **bs**

Kandydat do nagrody Nobla

W notatce p. t. „Pan Gacki kandydatem do literackiej nagrody Nobla" mackiewiczowski „Lwów i Wilno" pisze:

„Rozeszła się wiadomość, że emigracja polska zamierza wysunąć swego kandydata do nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Kandydatem tym ma być p. Stefan Gacki.

Pogłoska ta powstała zapewne na tle faktu, że związek pisarzy polskich w Londynie wysłał jako swego przedstawiciela na zjazd polskich organizacji społecznych w Wielkiej Brytanii właśnie p. Gackiego.

Niestety należy się liczyć z tym, że kandydatura ta nie znalazłaby wśród szwedzkiej Akademii należytego zrozumienia. Szwedzi (cóż za ludzie!) nie podzielają zapatrywań polskiego związku pisarzy w Londynie, że wystarczy być członkiem NID-u, (Niepodległość, Intryga, Demokracja), aby być uznanym za pisarza.

„...Pozatem komplikuje jeszcze sprawę okoliczność, iż nikt nie wie, czy p. Gackiego uważać za poetę, czy za prozaika, ponieważ pisarz ten, będący jak widzimy chlubą literatury polskiej, jeszcze dotychczas niczego ani prozą, ani wierszami nie napisał.

Pan Gacki zapewne jest wybitnym dyplomatą, politykiem, organizatorem. Suum cuique. Ale trzeba przyznać, że wysyłanie go na zjazdy w charakterze przedstawiciela... literatury polskiej jest grubym nietaktem i ośmieszeniem emigracji przed swoimi i obcymi". **bs**

Perspektywy

Związek Zawodowy Górników brytyjskich powziął uchwałę, ażeby dopuścić do kopalń angielskich wszystkich Polaków, niezależnie od tego, czy należą oni do PKPR, czy nie. Uchwała górników brytyjskich stwierdza, że do przeszkolenia górniczego może się zgłaszać młodzież polska, począwszy od 18 lat.

Nie łudziliśmy się nigdy co do tego, jakie są istotne powody zatrzymujące młodych Polaków w Anglii. Całe życie marzyli, żeby pracować w angielskich kopalniach węgla. Czyż to nie lepsze i nie bardziej patriotyczne zajęcie, niż wydobywanie tegoż węgla na Śląsku lub zagospodarowanie Ziem Odzyskanych? **m**

Czesi a układ polsko – czechosłowacki

Ukazujący się na Śląsku Cieszyńskim dziennik „Głos Ludu" zamieszcza artykuł pt. „Reakcjoniści przeciwko umowie polsko-czechosłowackiej", w którym zwraca uwagę na fakt, że w pewnych kołach czeskich wysuwa się głosy, podające w wątpliwość znaczenie i wartość podpisanej w marcu umowy warszawskiej.

„Z tymi głosami — pisze czeskie pismo „Głos Ludu" — które pochodzą od faszystowsko - hitlerowskich niedobitków należy związać również czeską prasę „narodnich socjalistów". Wzywa ona Polaków do dzieła budowania polsko - czechosłowackiej przyjaźni, a równocześnie twierdzi, że Czesi wykonali postanowienia tej umowy jeszcze przed jej zawarciem. Tego rodzaju argumentacja — stwierdza czeski dziennik — jest nie tylko naiwna, lecz i niebezpieczna. Głosy, nawołujące Polaków do pracy, a Czechów do bezczynności, można uważać za głosy przeciwników słowiańskiej jedności oraz przymierza polsko - czechosłowackiego. Winniśmy pamiętać — stwierdza w zakończeniu czeski dziennik — że każde skrzywdzenie, czy upośledzenie stanowi dzieło w służbie reakcji i tworzy ranę na żywym ciele społeczności słowiańskiej".

Jak widzimy i u nas i u Czechów front postępu i metody reakcji są jednakowe. **m**

Dziwny komitet

W Genui aresztowano kilkudziesięciu faszystów jugosłowiańskich, którzy — wobec zbliżania się terminu opuszczenia Włoch przez wojska anglo - amerykańskie — usiłowali zbiec do Ameryki Południowej. Niestety, spośród aresztowanych — około trzydziestu zmyliło czujność policji: przygarnął ich litościwy kapitan odpływającego właśnie do Argentyny okrętu i cała ta grupa zniknęła z włoskiego horyzontu. A byli to przeważnie znani zbrodniarze i przestępcy wojenni spod znaku faszystowskiego „fuehrera" Chorwacji — Pawelicza.

Taka ucieczka nie mogła się, oczywiście, udać bez wydatnej pomocy miejscowych przyjaciół. Istotnie, jak donosi prasa włoska, śledztwo ustaliło, że zbiegowie zaopatrzeni zostali w fałszywe paszporty, a dokumentów tego rodzaju dostarczył ksiądz Franciszek Petranowicz, przewodniczący papieskiego „komitetu pomocy uchodźcom".

Trzeba przyznać, że bardzo specjalną kategorię „uchodźców" wybrał sobie ten komitet na — podopiecznych i że w sposób zaiste niezwykły zrozumiał swoje funkcje „opiekuńcze". **bd**

„Czynniki warunkujące" plan wydawniczy

Stefan Żółkiewski w nocie p. t. „Plan wydawniczy" (nr. 14 „Kuźnicy") podnosi niezwykle doniosłą i dość już dawno aktualną sprawę ogólnego planu wydawniczego. Wyliczając czynniki, które stanowią o tym, że nadszedł już moment właściwy dla realizacji tego zamierzenia, t. zn. zbudowania ogólnego planu wydawniczego — Żółkiewski pomija jeden jeszcze fakt, który w całym zespole sił, pracujących na ten plan — nie powinien być, zdaniem moim, pominięty, lecz przeciwnie powinien być możliwie szeroko uwzględniony. Chodzi mianowicie o celowe i zamierzone, oparte na metodach naukowych badania nad czytelnictwem i zainteresowaniami czytelniczymi.

Badania te na większą skalę są u nas podejmowane i kontynuowane m. in. przez Instytut Badania Czytelnictwa przy Instytucie Kulturalno-Oświatowym „Czytelnika" i opublikowano już szereg przyczynków na podstawie tych badań. Celowość ich da się przede wszystkim wytłumaczyć jednym z zasadniczych postulatów wychowawczych: mianowicie najszerzej pojęta praca kulturalna z książką w ramach działalności bibliotekarskiej, ogólnooświatowej i szkolnej nie może rozpoczynać odrazu od literatury „klasycznej", wzorowej, doskonałej i na najwyższym poziomie. Do tej lektury czytelnik musi być doprowadzony, ale droga ku temu idzie po przez książki przeciętne, zainteresowania zwykłe i codzienne. Wynika stąd — że w planie wydawniczym obok książek, które muszą w nim znaleźć miejsce na podstawie przesłanek ideologicznych, wychowawczych, literackich — muszą się również znaleźć książki, które będą odpowiadały przeciętnym a żywym zainteresowaniom czytelników, lub te, które będą we właściwy sposób przekształcać zainteresowania zbyt wybujałe i żywe, a szkodliwe, wreszcie takie książki, które będą budzić zainteresowania słabe lub nieświadome.

Wiedzy o tym mogą właśnie dostarczyć badania, które kontakt z czytelnikiem ułatwią i uproszczą. Sprawa przeprowadzenia tych badań nie jest rzeczą prostą. Przede wszystkim chodzi o jak najdalej idące wyłączenie czynnika sugestii i osiągnięcie możliwie wysokiego stopnia szczerości, o jak najszerszy zakres ilościowy tych badań, co pozwala na obiektywny pogląd i eliminację błędów, wreszcie o szybkie opracowywanie wyników, aby materiały nie dezaktualizowały się. Wreszcie sprawa ostatnia — konieczność stosowania jednocześnie kilku metod badania: ankiety ilościowe i jakościowe, statystyka biblioteczna, obserwacje, wywiady i wypowiedzi wolne dla uzyskania wszechstronnego ujęcia zagadnień.

Zdając sobie sprawę w całej rozciągłości z trudności, jakie te badania przedstawiają, ale i z ich pierwszorzędnego znaczenia — wydaje mi się, że przy budowie ogólnego planu wydawniczego — badacze czytelnictwa powinni mieć głos doradczy i materiały przez nich gromadzone — powinny stanowić punkt wyjścia dla dyskusji, wreszcie, że należałoby zlecać im przeprowadzanie pewnych określonych badań, koniecznych dla konstruowania planu wydawniczego, opartego nie tylko na przesłankach ideologiczno - literackich, ale i na konkretnym zamówieniu społecznym. **am**

Perspektywy cywilizacji

Pan Jerzy Braun ogłasza w „Tygodniku Warszawskim" (nr 14) obszerny artykuł p. t. „U wrót cywilizacji chrześcijańskiej". W artykule tym streszcza były redaktor „Zetu" pokrótce dzieje cywilizacji dwudziestu wieków, pociesza siebie i czytelników, że po zimie następuje wiosna, załatwia się z socjalizmem szybko i lekko, stwierdza, że Europa odstąpiła od dzieła integralnej cywilizacji chrześcijańskiej i w tych słowach określa rolę i cele katolicyzmu w Polsce:

„Katolicyzm w Polsce jest dziś już dalej zaawansowany w swych pracach programowych, dotyczących ustroju państwa, gospodarki i kultury, niż organizacje katolickie we Francji, we Włoszech, Belgii etc. Stąd może płynie społeczny minimalizm radykalnych katolików francuskich a maksymalizm ideologiczny katolików polskich".

Autor nie jest jednak pewien, czy czegoś nie przeoczył i nie dopowiedział. Dlatego zapewne ogłasza w tym samym numerze pisma eschatologiczny poemat p. t. „Europa", w którym czytamy m. in.:

„Stał się cud najdziwniejszy z cudów:
Anioł przemówił z ludu".

r. d. c.

Styl niemowlęcy

„Skorośmy się zatrzymali na Łodzi, to stwierdzić trzeba, że audycje „Syreny" w dalszym ciągu grzeszą jakimś katzenjammerem. Tylko po czym? Niektóre numery nawet dowcipne, ale usiłowanie montażu — niemowlęco bezradne. Pod tym względem

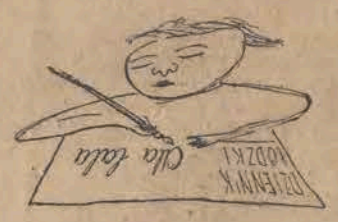

lepsza jest szczerość. Zapowiedzieć każdego pokolei i koniec".

(„Dziennik Łódzki" Nr. 95 artykuł: „Słuchajmy radia").

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D-015551 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.